



Tomasz Przybysz

Opowieść o współczesnym Hiobie

Wstęp

Moja przygoda z tajemniczą chorobą zwaną Fibrodysplasia Ossificans Progresiva (w skrócie FOP) zaczęła się dwadzieścia jeden lat temu, gdy zachorowałem na nią mając sześć lat. Lekarze nie potrafili właściwie zdiagnozować tej choroby, gdyż w Stanach Zjednoczonych zaczęli dopiero badania nad nią, a w Polsce była zupełnie nieznana. Przez dwa lata byłem traktowany jak świnka doświadczalna.

Testowano na mnie setki lekarstw, zadawano mi okropny ból, a wszystko to w imię „nauki”. Nikt nie pytał mnie o zdanie, wszyscy zachowywali się jakbym był ich własnością. Po dwóch latach nieopisanych cierpień mama zabrała mnie ze szpitala na własne żądanie. Byłem w tak koszmarnym stanie, że nie dawano mi więcej jak pół roku życia. Jednakże mimo zapewnień lekarzy żyłem dłużej niż przewidywali. Choroba nie miała już tak gwałtownego przebiegu jak w szpitalu, lecz wciąż się pogłębiała. W wieku dwudziestu jeden lat przestałem chodzić o własnych siłach i trafiłem na wózek inwalidzki, na którym poruszam się do dzisiaj.

Ludzie, którzy się ze mną zetknęli, są zdziwieni, że jestem wesoły i uśmiechnięty. *„Jak możesz być taki radosny przy tym nieszczęściu, które Cię dotknęło?”* Ja im wtedy odpowiadam, że gdybym się tak wszystkim przejmował, to przewidywania lekarzy co do długości mojego życia sprawdziłyby się przed laty. Cieszę się z każdego przeżytego dnia, z otaczającej mnie przyrody, a nawet z mojej choroby, dzięki której spoglądam na świat zupełnie inaczej. A największym nieszczęściem, jakie może mnie spotkać, jest litość, brak tolerancji i niezrozumienie przez społeczeństwo potrzeb osób niepełnosprawnych. Mam jednak nadzieję, że ta opowieść choć w części zmieni nastawienie społeczeństwa i sprawi, że na osoby niepełnosprawne (niezależnie od ich schorzenia) będziemy spoglądać z życzliwością, a nie z litością, niezdrową ciekawością czy wręcz obrzydzeniem.

Rozdział pierwszy

Do szóstego roku życia byłem normalnym, zdrowym, trochę rozbrykanym, o wiecznie śmiejących się oczach malcem. Nikt nie był w stanie przewidzieć, że wkrótce mój dotychczasowy świat ulegnie całkowitej przemianie, a moimi codziennymi „towarzyszami” zostaną ból i cierpienie...

Wszystko zaczęło się w Wigilię, 24 grudnia 1979 roku. Od samego rana bolały mnie trochę ramiona, ale pomyślałem sobie, że może mi zdrętwiały po nocy spędzonej w łóżku. Jednakże po południu ból zaczął się nasilać. Mama zauważyła, że jestem taki jakiś nieswój i zapytała:

- Co Ci jest synku? Zawsze byłeś taki wesoły, a dzisiaj jesteś taki inny. Coś się stało?
- Nie – odpowiedziałem. – Tylko od rana bardzo bolą mnie ramiona.
- Chodź, pokaż je.

Mama zdjęła mi koszulę i spostrzegła, że ramiona oraz szyja są opuchnięte i zaczerwienione. Ponieważ nigdy czegoś takiego nie miałem, więc trochę się zaniepokoiła. Ośrodek zdrowia był zamknięty, więc zdecydowała się wezwać karetkę pogotowia. Pojechaliliśmy do jednego ze szpitali dziecięcych w Poznaniu. Tam po konsultacji z lekarzem mama dowiedziała się, że będę musiał zostać w szpitalu na badaniach przez kilka dni.

Po trzech czy czterech dniach mama została wezwana do szpitala. W rozmowie z lekarzem dowiedziała się rzeczy, o których żadna matka nie chciałaby usłyszeć:

- Niestety, nie mamy dla Pani najlepszych wiadomości. Badaliśmy Pani syna, ale nie potrafimy powiedzieć co mu dolega. Pierwszy raz spotykam się z takim przypadkiem chorobowym. Ciało Tomka jest bardzo wrażliwe na dotyk, opuchlizna jeszcze się powiększyła. Nie jesteśmy tego do końca pewni, ale prawdopodobnie może to być jakieś zaburzenie przyswajania wapnia w organizmie. Może to być również jakieś uczulenie, ale nie wiemy co mogłoby być tego przyczyną.
- Panie doktorze, czy są na to jakieś lekarstwa? Czy mój syn wyzdrowieje?
- Na obecnym etapie nie mogę jeszcze niczego pewnego stwierdzić, ale może Pani być pewna, że zrobimy wszystko, aby Tomek powrócił do zdrowia. Jednakże będzie musiał zostać w szpitalu przez jakiś czas na obserwacji.

Mama przyszła do pokoju, w którym leżałem podłączony do kroplówki. Widząc, że bardzo cierpię, zaczęła mnie uspokajać, że wszystko będzie w porządku, lecz najgorsze miałem usłyszeć dopiero za chwilę. Dowiedziałem się, że będę musiał jeszcze zostać w szpitalu na badaniach, lekarze nie potrafili jej powiedzieć jak długo to potrwa, lecz pocieszała mnie, że wkrótce wyjdę ze szpitala całkowicie zdrowy. Wychodząc z mojego pokoju mama nawet nie przypuszczała, że do domu wrócę dopiero po dwóch latach cierpień...

Pierwsze dni w szpitalu były dla mnie koszmarne. Z dala od rodziny (do której jak każde dziecko byłem bardzo przywiązany), karmiony niesamowitymi ilościami najprzeróżniejszych tabletek, ciało miałem wciąż dziurawione niezliczoną liczbą zastrzyków i kroplówek, do tego wszystkiego dołączał się jeszcze stres związany z przebywaniem w szpitalu oraz wszechobecny ból, który nie pozwalał mi spokojnie zasnąć w nocy. To wszystko sprawiało, że niejednokrotnie moja poduszka była mokra od łez. Mimo tych ogromnych dawek lekarstw i zastrzyków, chociaż lekarze wykonywali na mnie przeróżne testy, to jednak choroba postępowała nadal. Opuchlizna zaczęła ustępować, ale zacząłem mieć problemy z poruszaniem rękoma. Ramiona powoli zaczęły mi sztywnieć i w rezultacie po kilkunastu tygodniach nie mogłem już podnieść rąk na wysokość twarzy.

Po serii testów lekarze doszli do wniosku, że jest to „*wapniejące zapalenie mięśni i stawów*” i mama dowiedziała się, że moja choroba jest najprawdopodobniej wynikiem złej przemiany wapnia w organizmie. Orzekli również, że jest to choroba nieuleczalna i na razie nie wymyślono jeszcze żadnego lekarstwa na nią. Lecz mimo to nadal testowano na mnie różne specyfiki, traktując mnie jak „darmową świnkę doświadczalną”. Usunięto mi nawet migdałki, bo któryś z lekarzy właśnie migdałki uznał za główne źródło choroby.

Gdyby którykolwiek z tych lekarzy wiedział o prawdziwych przyczynach mojej choroby, gdyby w ogóle zdiagnozowali ją właściwie, to być może mój pobyt w szpitalu nie miałby tak tragicznych dla mnie skutków. Lecz w 1979 roku nikt w Polsce nie słyszał o Fibrodysplazji, nikt nie znał jej objawów, ani nie wiedział jakie są przyczyny zachorowania na tę chorobę. W USA dr Zasloff dopiero rozpoczynał swoje badania nad FOP, a polscy lekarze nie znali w ogóle tej choroby.

Otumaniany garściami tabletek, którymi codziennie byłem karmiony, przenoszony z jednego szpitala do drugiego (gdy tylko „znudziłem się” lekarzom w jednym szpitalu, natychmiast przenosili mnie do kolejnego, gdzie doświadczalny koszmar zaczynał się od nowa) powoli stawałem się obojętny na wszystko. Moja psychika nie wytrzymała tego ciągłego bólu i stresu i w rezultacie zacząłem przypominać bezwolnego manekina. W innych dzieciach tliła się jeszcze ta iskra życia, która nie pozwalała im poddawać się chorobie, natomiast ja pogodziłem się już ze swoim przeznaczeniem i w moich oczach nie było widać ani odrobiny radości.

Również tęsknota za rodzinnym domem była nie do zniesienia. Byłem bardzo silnie związany psychicznie i emocjonalnie z rodzicami, a ten pobyt w szpitalu w bardzo dużym stopniu oddziaływał również na moją tęsknotę za nimi. Ojciec pracował wówczas w Poznańskim Przedsiębiorstwie Ceramiki Budowlanej jako kierowca, bardzo często wyjeżdżał na kilkudniowe trasy po całej Polsce. Mama zajmowała się domem, lecz z powodu obowiązków domowych nie mogła odwiedzać mnie tak często, jakbym chciał. Chociaż przyjeżdżała do mnie przynajmniej raz w tygodniu, to jednak wciąż brakowało mi jej obecności przy mnie. Na szczęście w jednym ze szpitali, do którego zostałem przeniesiony, pracowała jako pielęgniarka ciocia Maria – siostra mojego ojca. I właśnie dzięki niej nie czułem się taki samotny i opuszczony, również podczas nocnych dyżurów starała się jak najwięcej czasu spędzać ze mną, przynosiła mi słodycze, ocierała łzy bólu z policzków, przytulała mnie do swego serca i mogłem śmiało powiedzieć, że jej opieka pomagała mi w znacznym stopniu złagodzić moje cierpienie.

Podczas jednej z wizyt mama spostrzegła, że jestem inny niż zazwyczaj. Zrobiłem się małomówny, rozkojarzony, często wybuchając płaczem. Mama wzięła mnie za rękę i z przerażeniem stwierdziła, że moje ciało jest opuchnięte i bardzo wrażliwe na dotyk – gdy dotknęła mego ramienia, to przy cofnięciu dłoni moje ciało zaczęło „rosnąć” (tak jak ciasto na placek pod wpływem ciepła). Pielęgniarka nie wiedziała co się ze mną stało, również lekarz nie potrafił nic sensownego powiedzieć. Mama zażądała widzenia z ordynatorem. Gdy ten zmieszany zaczął się tłumaczyć, że to jest tylko przejściowa reakcja na antybiotyki, mama zapytała o rezultaty leczenia.

- Właściwie to nadal nic pewnego nie wiemy o chorobie Pani syna. Pobraliśmy mu wycinek skóry z ramienia do badania, ale nie zauważyliśmy żadnych zmian w badanych komórkach. Lecz po kilku tygodniach w miejscu pobrania skóry mięśnie zaczęły mu twardnieć. Tak jak mówiłem na początku – najprawdopodobniej są to jakieś zaburzenia przyswajania wapnia w organizmie i to chyba to wapno osadzając się w jego stawach i mięśniach doprowadziło do takiego stanu.
- Proszę mi konkretnie powiedzieć – czego Pan się dowiedział o chorobie mojego syna przez te dwa lata jego pobytu w szpitalu.
- Trudno mi jednoznacznie odpowiedzieć... Testowaliśmy na nim różne leki, ale żaden nie przyniósł poprawy zdrowia. Właściwie na dzień dzisiejszy, to jest to jedyny przypadek tej choroby, z jakim się zetknęliśmy. Gdybyśmy wykonali jeszcze kilka testów...
- Nie zgadzam się! – Mama była najwyraźniej zbulwersowana. – Nie będziecie dalej traktowali Tomka jak świnkę doświadczalną! Przez dwa lata nie tylko nie wyleczyliście go, ale jeszcze pogorszyliście stan jego zdrowia. Dlatego nie zezwalam na dalsze eksperymenty na nim, tylko zabieram go do domu.

Lekarz próbował oponować, ale mama była nieugięta. Jednak nie chcąc brać odpowiedzialności za decyzję mamy ordynator wymusił na niej podpisanie zaświadczenia, że zabiera mnie do domu na własną prośbę, wbrew zaleceniom lekarzy.

Mama przyszła do mojego pokoju, popatrzyła na mnie ze łzami w oczach (które starała się ukryć przede mną) i powiedziała najpiękniejsze słowa, jakie wtedy usłyszałem:

- Zabieram Cię do domu i nigdy już tu nie wrócisz.

Nie mogąc uwierzyć w to co usłyszałem, popatrzyłem na nią z niedowierzaniem, a po chwili przytuliłem się do niej i rozplakałem ze szczęścia...

Żabno jest małą wioską położoną 30 km na południe od Poznania, przy głównej drodze Poznań – Śrem. Jest to niewielka miejscowość licząca sobie około 450 mieszkańców. Mieści się tu trzyklasowa szkoła podstawowa, restauracja z hotelem, kilka małych sklepików, dwie stacje benzynowe, przedszkole oraz zabytkowy kościół. Wieś otoczona jest lasami, które dostarczają krajobrazowi niezwykłego uroku i oczyszczają powietrze z zanieczyszczeń dostarczanych przez tutejszą fabrykę masy bitumicznej

(popularną „smołownię”). I właśnie tu, pośród uprawnych pól i łąk, w otoczeniu przyrody, znajduje się mój rodzinny dom.

Dom. Niby zwyczajny budynek mieszkalny, lecz dla mnie miał on szczególne znaczenie. To właśnie dom dawał mi schronienie przed żywiołami natury, tu żyłem szczęśliwie z moją rodziną, z przyjemnością wracałem w jego progi po wizytach u rodziny czy wycieczkach. I do tego cudownego miejsca wróciłem po dwóch latach nieobecności. Przez ten czas zdążyłem już zapomnieć jak nasz rodzinny dom wygląda w środku, musiałem poznawać go na nowo.

Na nowo przypominałem sobie specyficzny zapach naszego domu (pachniał trochę zakurzonym drewnem rozgrzanym na lipcowym słońcu), rozkład mebli w każdym pomieszczeniu (wszystko wydawało mi się takie jakieś „obce”). Po kilku dniach znów czułem się jak za dawnych czasów, wiedziałem, że idąc do kuchni na górę słyhać będzie lekkie skrzypienie czwartego stopnia schodów, poznałem na nowo jakie dźwięki wydają drzwi w każdym pokoju. Znów byłem u siebie.

Gdy wychodziłem ze szpitala, lekarze nie dawali mi więcej niż pół roku życia (mój stan zdrowia był okropny). Eksperymenty lekarskie doprowadziły mnie do takiego stanu, że obydwie ramiona miałem całkowicie zablokowane i nie mogłem ich unieść wyżej, niż na wysokość piersi. Również kark miałem zupełnie sztywny i nie mogłem obracać głową na boki. Gdy chciałem spojrzeć w prawo lub lewo – musiałem obrócić się całym ciałem. Lecz, o dziwo, moje zdrowie powoli zaczęło się stabilizować. Może sprawiła to zmiana otoczenia, może kres faszerowania mnie kilogramami lekarstw i koniec stresu związanego z przebywaniem w szpitalu, a na pewno także przyczyniła się do tego miłość rodziny, ale po tych zapowiadanych ostatnich sześciu miesiącach mojego życia zacząłem powoli odzyskiwać radość oraz dziecięcą beztroskę. Kto jednak uważnie spojrział w moje oczy, to mógł ujrzeć w nich cień smutku i przebytego cierpienia...

Rozdział drugi

Po powrocie ze szpitala zacząłem naukę w drugiej klasie szkoły podstawowej. Budynek szkolny mieścił się obok mojego domu. Był to duży piętrowy gmach z czerwonej cegły, do którego uczęszczały dzieci z okolicznych wiosek. Były tu tylko trzy klasy, od czwartej klasy dzieci dojeżdżały do szkoły w Brodnicy – wioski oddalonej o 4 km od Żabna.

Moja klasa liczyła sobie 7 uczniów (wliczając również mnie). Gdy nauczycielka, pani Bogumiła (była również dyrektorem szkoły), wprowadziła mnie po raz pierwszy do klasy, zapadła cisza, a wszyscy z ciekawością mnie obserwowali.

- Dzieci – powiedziała pani Bogumiła – przedstawiam wam Tomka, waszego nowego kolegę. Jest chory, przyszedł do nas prosto ze szpitala, gdzie przebywał bardzo długo. Mam nadzieję, że zaprzyjaźnicie się z nim.

Po wyjściu nauczycielki dziecięca ciekawość przewyciężyła nieśmiałość i dzieciaki zebrały się przy mnie wypytując o moją chorobę, o pobyt w szpitalu i w ogóle o wszystko. Z początku nie chciały mi uwierzyć, że spędziłem poza domem dwa lata, ale gdy na jednej z lekcji nauczycielka poprosiła abym opowiedział swoje przeżycia ze szpitala, to przekonały się że mówiłem prawdę.

Z początku obawiałem się, że z powodu mojej choroby dzieci mnie nie zaakceptują lub będą wyśmiewać się ze mnie, jednak przekonałem się, że traktują mnie zupełnie normalnie i nie zwracają uwagi na fakt, iż moja sylwetka jest nieruchoma, a ręce nienaturalnie wykręcone.

Maciek, Zbyszek, mój imiennik Tomek oraz pozostałe dzieci szybko mnie zaakceptowały jako nowego kolegę i nigdy nie spotkały mnie żadne przykrości z ich strony z powodu mojej odmienności. Podczas wspólnych zabaw musiałem jedynie uważać aby się nie przewrócić (ponieważ mając usztywnione ramiona nie mogłem zamortyzować upadku), lecz dzieci same uważały, aby mnie przypadkiem nie potraćić zbyt mocno.

Nauka zawsze przychodziła mi bardzo łatwo. Nawet gdy ukończyłem trzecią klasę i zacząłem uczęszczać do szkoły w Brodnicy, to nigdy nie miałem większych problemów z przyswojeniem nowego (a co za tym idzie – o wiele trudniejszego) materiału. Uczyłem się tak dobrze, że w piątej klasie dyrektor szkoły powiedział, że gdybym zechciał to mógłbym zaliczyć dwie klasy w ciągu jednego roku. Lecz ja nigdy nie byłem kujonem i nie miałem najmniejszego zamiaru męczyć się, aby szkołę skończyć trochę wcześniej niż inni uczniowie.

Problem był innej natury. W szkole w Żabnie było maksymalnie dwudziestu uczniów, natomiast szkoła w Brodnicy obejmowała swym zasięgiem większy obszar i uczniów uczęszczało do niej kilkakrotnie więcej. Nauczyciele obawiali się, że dzieci nie będą na mnie uważać, a nawet mogłyby specjalnie zrobić mi jakąś krzywdę, więc postanowiono, że będę miał nauczanie indywidualne w domu. Trzy razy w tygodniu przyjeżdżali do mnie nauczyciele na lekcje, a do szkoły jeździłem tylko na rozpoczęcie roku szkolnego oraz po odbiór świadectwa i ewentualnie na jakieś szkolne uroczystości.

Nauczycieli miałem wspaniałych. Pan Maciej, nauczyciel m.in. matematyki, był dla mnie bardziej jak przyjaciel niż nauczyciel. Wielokrotnie zdarzało się, że zamiast prowadzić ze mną lekcje, uczył mnie gry w szachy. Gdy przychodził do mnie, szachownica czekała już na stole rozłożona, a gdy znudziły nam się szachy, to dla odmiany graliśmy w warcaby lub Monopol. Lecz mimo takiego „rozrywkowego” podejścia do nauki bez problemów przerabialiśmy materiał szkolny.

Również pani Magda, ucząca mnie języka polskiego oraz innych przedmiotów humanistycznych, miała niezwykłą osobowość. Roztaczała wokół siebie atmosferę dobroci i właściwie nigdy nie potrafiłem jej niczego odmówić. Nawet gdy robiła niezapowiedziany sprawdzian, to nie marudziłem jak inni uczniowie, tylko byłem zadowolony, że chce sprawdzić rezultaty swojego nauczania i poziom mojej wiedzy.

Tęskniłem bardzo za swoimi rówieśnikami, brakowało mi tej wspaniałej atmosfery koleżeństwa, która panowała w szkole w Żabnie, lecz doskonale rozumiałem, że z powodu mojej choroby nie mogę uczyć się z innymi dziećmi.

Najprawdopodobniej ta izolacja od rówieśników sprawiała, że zacząłem czuć się kimś „gorszym”. Byłem bardzo nieśmiałym dzieckiem, a ten brak kontaktu z innymi dziećmi powodował, że stałem się całkowitym odludkiem. Nie spotykało mnie zresztą nic dobrego od innych: szyderstwa, śmiechy, wyzwiska – tylko dzieci mogą być tak okrutne wobec kogoś, kto w jakimkolwiek stopniu różni się od nich. Dlatego też większość wolnego czasu spędzałem w domu czytając książki (które zawsze

uwielbiałem). Moja fantazja przenosiła mnie w dalekie kraje, gdzie razem z bohaterami powieści przeżywałem fantastyczne przygody. I właśnie czytając książki czułem się poniekąd... wolny. Tak było przez cały czas. Moi koledzy umawiali się na pierwsze randki z dziewczynami, chodzili na dyskoteki, a ja będąc osobą „inną” żyłem niejako na uboczu. Bo i żadna dziewczyna nie chciała umówić się z inwalidą. Mógłbym być dobrym kandydatem na kolegę lub przyjaciela, lecz chłopakiem – wykluczone.

Zresztą ja nie szukałem towarzystwa innych. Zamiast przesiadywać jak wszyscy w hałaśliwych dyskotekach wolałem sobie z moim ukochanym pieskiem iść na spacer do lasu.

A było tam cudownie. Z dala od hałasu cywilizacji, sam na sam z przyrodą, szedłem sobie leśną drogą wdychając świeże powietrze, które smakowało wybornie (tylko człowiek wychowany na wsi lub w lesie wie jak wspaniale smakuje poranne powietrze jeszcze nie rozgrzane od słońca i z odrobiną wilgoci od rosy). Słoneczko rozgrzewało żywicę na sosnach przesycając powietrze takimi zapachami, że aż kręciło w nosie. Czasem przez drogę przebiegła sarna lub jelen, spotykałem również zające i lisy (podczas jednego ze spacerów pomyliłem nawet mojego pieska z lisem), w oddali było słycać stukanie dzięcioła – prawdziwa sielanka. Na dodatek las mnie karmił. Latem chodziłem na jagody i poziomki, a jesienią na grzyby i owoce czeremchy (którymi zajadałem się ze smakiem). Wielokrotnie myślałem, żeby zamieszkać w nim (choć na kilka dni), ale bałbym się być w lesie sam w nocy...

Natomiast moja tajemnicza choroba (o której lekarze nadal nic nie wiedzieli) chwilowo się zatrzymała. Tak jak przyszedłem ze szpitala w wieku ośmiu lat z usztywnionymi ramionami (których nie mogłem podnieść do góry), tak przez następne kilka lat stan mojego zdrowia nie ulegał żadnym zasadniczym zmianom. Miewałem czasami bóle mięśni, lecz nie były one zbyt gwałtowne, więc przypisywałem je zmianom pogodowym. Dopiero gdy wkroczyłem w wiek nastoletni, to choroba zaczęła coraz bardziej się nasilać.

Pierwszy gwałtowny atak FOP miałem po ukończeniu dwunastego roku życia. Kładąc się do łóżka wieczorem, nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że następny dzień zmieni się dla mnie w koszmar.

Rano obudziłem się jak zwykle, czułem jedynie takie dziwne zdrętwienie w całym ciele. Dopiero przy śniadaniu spostrzegłem, że poruszanie szczęką sprawia mi okropny ból. Moja choroba w ciągu zaledwie dwunastu godzin błyskawicznie zaatakowała żuchwę i unieruchomiła ją na dobre. Mogłem otworzyć usta na maksymalnie pół centymetra, lecz ruszanie szczęką przeszywało moje ciało falami niewyobrażalnego cierpienia. Nie wiedziałem co się ze mną dzieje. Cieniutki, nieomal przezroczysty plasterk żółtego sera jadłem w wielkiej mące ponad godzinę, a każde ugryzienie wyciskało mi z oczu łzy bólu. Oprócz płynów był to jedyny mój posiłek tego dnia. Bardzo tego dnia cierpiałem, dopiero porcja silnych tabletek przeciwbólowych przyniosła mi chwilową ulgę. Po kilku dniach ból powoli ustąpił, ale nie mogąc już otworzyć szeroko ust, każdy posiłek musiałem jeść rozdrobniony.

Moja rodzina próbowała oczywiście walczyć z chorobą, czyż jednak można wygrać walkę z wrogiem, o którym nic nie wiadomo?

Jeździłem po różnych zielarzach, „cudotwórcach” i kręgarzach, jednak żaden z nich nie był w stanie mi pomóc. Traciliśmy tylko czas oraz pieniądze. Zjeździłem całą Wielkopolskę w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby mi pomóc, lecz rezultaty leczenia były mizerne. Nawet ów sławny „cudotwórca” Harris nie był w stanie poprawić stanu mojego zdrowia, również spotkanie z rosyjskim uzdrowicielem Kaszpirowskim nie przyniosło żadnego pozytywnego rezultatu.

Powoli już traciłem nadzieję, że będę jeszcze zdrowy, gdy od znajomych usłyszałem o pewnym znakomitym lekarzu z Leszna. Człowiek ten, mając w sobie potężne bioprądy, wyleczył swojego syna, który poruszał się na wózku inwalidzkim. Jego doskonała opinia natchnęła mnie myślą, aby wybrać się do niego z wizytą. Ów bioenergoterapeuta „przebadał” mnie swoimi bioprądami i rzekł do mojej mamy:

- Niestety, choroba Pani syna jest już zbyt zaawansowana, abym mógł go z niej wyleczyć. Mogę jedynie spowolnić jej działanie, chociaż będziemy jeszcze próbowali z nią walczyć. Gdyby Tomek trafił do mnie wcześniej, to niewykluczone, że uleczyłbym go całkowicie.

Gdy mama wyciągała portfel, aby zapłacić za wizytę, lekarz powiedział:

- Proszę schować te pieniądze, umówimy się tak, że jeśli pomogę Pani synowi, to zaprosi mnie Pani na dobry koniak.

Przez następne trzy lata jeździłem z mamą co miesiąc na wizytę do Leszna. I rzeczywiście – choroba stanęła w miejscu. Lecz ponieważ te dojazdy były dla nas trochę kosztowne (najpierw samochodem 10 kilometrów do stacji kolejowej, a następnie pociągiem do Leszna), mama uznała, że nie ma sensu jeździć na dalsze zabiegi. Być może to był błąd z mojej strony, gdyż po zrezygnowaniu z tych zabiegów moje zdrowie stopniowo znów zaczęło się pogarszać.

Mama oczywiście nie zrezygnowała tak do końca z walki o mnie. Wciąż jeździliśmy po różnych lekarzach, próbowała nadal znaleźć kogoś, kto by mi pomógł, lecz robiła to już raczej z nawyku niż przekonania. Po dziewięciu latach moja choroba wygrała w walce z wiarą mamy w moje uzdrowienie...

Rozdział trzeci

Szkołę podstawową kończyłem z prawdziwym żalem. Wiedziałem, że wraz ze świadectwem ukończenia ósmej klasy kończy się pewna część mojego życia – dzieciństwo, a zaczyna dojrzewanie i powolne zmierzanie ku dorosłości. Ze smutkiem jechałem na uroczystość rozdania świadectw, gdyż miała ona być ostatnią, w której uczestniczyłem. Rozpoczęło się wręczanie wyróżnień książkowych dla najlepszych uczniów. Stojąc na placu apelowym z wszystkimi zastanawiałem się gdzie los zastanie mnie za rok. Z rozmyślań wyrwał mnie głos jednego z nauczycieli:

- Za dobre wyniki w nauce oraz wzorowe zachowanie wyróżnienie otrzymuje uczeń klasy ósmej – Tomasz Przybysz.

Podchodząc po odbiór nagrody westchnąłem w duszy: „*Oto ostatni raz otrzymuję pamiątkową książkę*” (gdyż co roku byłem wyróżniany książkami za dobre wyniki w nauce).

Po kilkunastu minutach rozeszliśmy się do swoich klas. W mojej klasie początkowo było dość gwarno (gdyż opowiadaliśmy sobie co będziemy robić przez wakacje), lecz gdy otworzyły się drzwi i weszła nasza wychowawczyni, w klasie zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Pani Maria była moją wychowawczynią od czwartej klasy (odkąd zacząłem chodzić do szkoły w Brodnicy). Przez te wszystkie lata była najlepszą wychowawczynią, z jaką kiedykolwiek się zetknąłem. Choć była wymagającą nauczycielką, to wszyscy ją kochaliśmy. Traktowaliśmy ją jak matkę, a ona nas jak swoje dzieci.

Weszła do klasy, stanęła przy biurku i popatrzyła na nas z miłością w oczach. To jej spojrzenie miało w sobie wiele ciepła, gdyż po raz ostatni spotykaliśmy się wszyscy razem – „matka” i jej „dzieci”.

Zaczął się wydawanie świadectw. Ku naszemu zaskoczeniu nikt z klasy nie został na drugi rok (choć było kilku takich „niepewnych swojego losu”). Jeszcze raz okazało się, że pani Maria ma wielkie serce, gdyż nikomu nie chciała robić przykrości i cała klasa otrzymała świadectwa ukończenia szkoły podstawowej.

Gdy podchodziliśmy do pani Marii po odbiór świadectwa, to każdy wręczał jej kwiaty, otrzymywał świadectwo i kilka miłych słów. Przyszła i moja kolej. Stałem przed nią, otrzymałem świadectwo, wręczyłem jej kwiaty i spojrzeliśmy sobie w oczy. Powiedziała wówczas do mnie następujące słowa: „*Idź przez życie z otwartym sercem, a każdy człowiek na Twą miłość także odpowie miłością.*”

Nasza klasa była ostatnią, którą się opiekowała. Wkrótce przeszła na emeryturę, lecz na zawsze pozostaliśmy w jej sercu jako ukochane „dzieci”.

Po otrzymaniu świadectwa ukończenia szkoły podstawowej nie wiedziałem co dalej ze sobą zrobić.

Chciałem się dalej kształcić, ale ze względu na moją chorobę wiele szkół po prostu odmówiło przyjęcia mnie (może bali się, że moja choroba jest zaraźliwa?). Szkoła z internatem też raczej nie wchodziła w grę.

W końcu udało mi się podjąć naukę w liceum wieczorowym. Było to II Liceum Ogólnokształcące dla pracujących mieszczące się w Poznaniu na ul. Krakowskiej. Jeździłem na lekcje dwa razy w miesiącu – w sobotę i w niedzielę.

W soboty nauka zaczynała się o godz. 14, a ja z powodu kiepskich połączeń autobusowych w weekendy jechałem autobusem o 9.30, godzinę później byłem w Poznaniu i do godz. 14 czekałem pod szkołą lub zwiedzałem sobie miasto. Kończyliśmy lekcje o 19.30 i musiałem szybko znaleźć się na dworcu PKS, aby zdążyć na autobus o 20.15. Do domu docierałem zmęczony o godz. 21.20.

W niedzielę miałem jeszcze lepiej. Nauka zaczynała się o 8.15, więc musiałem wstawać o 5.30, aby godzinę później zdążyć na pociąg w pobliskim miasteczku. Po lekcjach (około 14.30) biegiem na autobus i mniej więcej o 16.20 byłem już w domu.

Nauka w liceum była jednak krańcowo odmienna od tej, jaką miałem w domu. Nauczyciele byli wiecznie zajęci, lekcje były przerabiane w pośpiechu (czytane były tylko najważniejsze zagadnienia, resztę „*proszę sobie opracować w domu samodzielnie*”), a wykłady były dyktowane w tak szalonym tempie, że na początku nadażalem zapisywać tylko jedną trzecią dyktowanego materiału. Na przerwach zamiast sobie odpoczywać, pośpiesznie uzupełniałem brakujące notatki. Później doszedłem do wprawy w pisanie, lecz często jeszcze po każdej lekcji traciłem czucie w nadgarstku od machania długopisem.

Najgorsze jednak było to, że co semestr klasa się zmieniała. Ledwie wszyscy się poznali, żyli ze sobą, nawiązały się przyjaźnie i sympatie, a tu egzaminy semestralne „odfiltrowały” tych najsłabszych i trzeba było się z nimi pożegnać. Na ich miejsce przychodzili nowi i przez kolejny semestr było tak samo. Na domiar złego poziom nauki w liceum był strasznie wysoki. Materiał był tak trudny, że z ledwością mogłem go zrozumieć. A tu nie było tak jak w podstawówce – tutaj rzucili cię na głęboką wodę i radź sobie sam, nikt ci niczego nie wytłumaczy, do wszystkiego powinieneś dojść sam. Jeśli nie potrafisz, to nie nadajesz się do nauki w naszym liceum i jak najszybciej zrezygnuj.

Przez pierwszy rok jakoś dawałem sobie radę, mimo iż miałem wiele problemów z przyswojeniem i zrozumieniem materiału. Lecz w drugiej klasie wielu rzeczy nie potrafiłem się nauczyć i w rezultacie na początku 1992 roku egzamin semestralny „odfiltrował” również i mnie.

Z początku rodzice byli na mnie wściekli (przez kilka dni miałem absolutny szlaban na wyjście z domu), ale w końcu zrozumieli, że taki system nauczania był dla mnie zbyt trudny. Ponieważ do końca roku szkolnego zostało trochę czasu (to był początek lutego), więc postanowiłem odpocząć sobie od wszelkich stresów związanych z nauką i zastanowić się co dalej mam zrobić w sprawie dalszego kształcenia się.

Mama poprzez tutejszy Ośrodek Opieki Społecznej załatwiła mi wyjazd na kolonie. Miałem przez dwa lipcowe tygodnie gościć w Ośrodku Wczasowo-Wypoczynkowym w Wągrowcu, a moją „rodziną” na ten czas miało być Sportowe Stowarzyszenie Inwalidów „Start” z Poznania.

Jechałem na te kolonie z pewną nieśmiałością i lekką obawą, gdyż to miał być mój pierwszy samodzielny pobyt poza domem. Mimo iż miałem już osiemnaście lat, to jeszcze nigdy nie byłem na żadnych koloniach. Lecz pomyślałem sobie wtedy, że przecież nie mogę być takim maminsynkiem, który wiecznie potrzebuje opieki, w końcu „do odważnych świat należy”. Po tej myśli miejsce obawy w mojej świadomości zajęła radość i ciekawość.

A w Ośrodku czekała na mnie niespodzianka. Okazało się, że prezes „Startu” mieszkał niegdyś w Mosinie – małym miasteczku położonym koło Żabna – i ten fakt bardzo nas zbliżył do siebie. Mieliśmy wspólnych znajomych i można powiedzieć, że byliśmy niejako „sąsiadami przez miedzę”.

Stosunki na kolonii były wspaniałe. Nie czuło się takiej typowo kolonijnej atmosfery, wszyscy traktowani byli bardziej jak członkowie rodziny niż koloniści. Dzieci zachowywały się uprzejmie wobec innych, pomagały sobie nawzajem, opiekunowie również stwarzali tę rodzinną atmosferę (w końcu przez dwa tygodnie musieli wszystkim dzieciom zastąpić rodziców), a na dodatek razem z nami była jeszcze pięćdziesięcioosobowa grupa osób niepełnosprawnych ze Szwecji. Ponieważ nie znali oni języka polskiego, więc co niektórzy z polskiej grupy mieli okazję przetestować swoją znajomość języka angielskiego.

Chociaż moja grupa była najmłodsza (poza mną wszystkie dzieci były 6-10 letnie), to jednak w ogóle nie odczuwałem różnicy wieku. Nasza opiekunka, pani Nina, potrafiła nam tak doskonale zorganizować czas, że wszyscy świetnie się bawili. Gry i zabawy na świeżym powietrzu (gdyż pogoda cały czas nam dopisywała), wspólne kąpiele w jeziorze, radość panująca wszędzie – czułem się na tych koloniach znakomicie i wszystkimi zmysłami chłonałem to, co zabrała mi izolacja od rówieśników podczas indywidualnego nauczania w domu.

Czas na koloniach mieliśmy tak wspaniale zorganizowany, że nie było mowy o nudzie. Po raz pierwszy miałem okazję jechać kolejką wąskotorową do Biskupina. Sama osada nie zrobiła na mnie dużego wrażenia. Spodziewałem się zupełnie czegoś innego. A tu zwykła drewniana brama, do której prowadziła droga z drewnianych belek, przy bramie trochę pali wbitych w dno jeziora. Dopiero za bramą stanąłem zaskoczony widokiem niskich drewnianych chat. Przewodnik wprowadził nas do jednej z nich. Niektórzy mieli trochę problemów z wejściem, gdyż otwór wejściowy był bardzo niski, a dodatkowo był jeszcze wysoki próg. W środku chata przypominała raczej wiejską szopę, niż dom mieszkalny. Na środku było palenisko, z jednej strony legowiska do spania, z drugiej strony miejsce gdzie były trzymane zwierzęta, po drabinie wchodziło się na małe stryszek – w takich warunkach żyli ludzie 2500 lat temu.

Wracaliśmy inną trasą. Mogliśmy obejrzeć sobie hodowlę koników polskich, piec do wypalania cegieł, a na końcu naszej wizyty w Biskupinie zwiedzaliśmy muzeum, gdzie były wystawione eksponaty wykopane przez archeologów. Były to przeważnie szczątki broni i ozdób, naczynia gliniane, fragment drewnianej łodzi... Chodząc między eksponatami pomyślałem sobie, że nikt tego nie pilnuje, więc łatwo byłoby zabrać sobie jakiś drobiazg na pamiątkę. Lecz skończyliśmy zwiedzanie i pokusa zabrania sobie pamiątki minęła.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się jeszcze w Żninie chcąc zobaczyć słynne muzeum kolejki wąskotorowej. Weszliśmy do pociągu, w którym była urządzona wystawa. W szklanych gablotach wystawione były różne kolejowe dokumenty, stare bilety, służbowe lampy naftowe, a także kompletne mundury kolejarzy.

W budynku stacji kolejowej czas zatrzymał się w miejscu chyba na początku lat trzydziestych. Mała poczekalnia ogrzewana piecem kaflowym, kasa, w której oprócz biletów można było kupić także modele samolotów do składania oraz puzzle. Wszystko tu wyglądało jak na starych filmach i wchodząc do pomieszczenia człowiek miał wrażenie, że cofnął się w czasie o kilkadziesiąt lat.

Oprócz wycieczki do Biskupina mieliśmy jeszcze inne atrakcje. Pewnego dnia wychowawcy zorganizowali nam rejs statkiem wycieczkowym po jeziorze. Jedna runda trwała około półtorej godziny. Stateczek był mały, jednocześnie mogło się na nim pomieścić nie więcej niż 10 osób. Ponieważ był straszny upał, ja nie zabrałem z domu żadnej czapki przeciwsłonecznej, więc pani Nina poprosiła kapitana statku, abym mógł przebywać w sterówce. Kabina była tak niewielka, że z trudem mieściliśmy się tam we troje – ja, kapitan i jego pomocnik.

Wyruszyliśmy w rejs. Z początku byłem trochę onieśmielony, ale gdy kapitan zaczął opowiadać o swoich dotychczasowych rejsach, o przygodach z kłusownikami, to szybko się z nim oswoiłem. Dał mi swoją czapkę kapitańską, a po chwili, widząc że rozglądam się z ciekawością po wszystkich przyrządach nawigacyjnych, zapytał:

- Chciałbyś trochę posterować statkiem?

Czy chciałem? Pytanie! Jasne, że chciałem.

Kapitan zrobił mi miejsce za sterem i tak oto przez kilkanaście minut mogłem poczuć się prawdziwym „wilkiem morskim”. Kapitan chyba mnie polubił, bo nagle zebrało mu się na psikusy.

- Chwyć koło sterowe i zakręć nim w lewo i prawo – nakazał mi w pewnej chwili.

Zrobiłem jak mi powiedział i statkiem mocno zakołysało. Z tyłu na pokładzie rozległy się piski przestraszonych dzieci, a kapitan uśmiechnął się do mnie łobuzersko.

Płynęliśmy dalej. Zrobiliśmy ponad dwie trzecie drogi i nasz rejs powoli zbliżał się do końca. Kapitan wziął ode mnie koło sterowe i przybił statkiem do pomostu. Oddałem mu czapkę, podziękowałem za rejs i to był koniec wodnej przygody.

Równie dobrze bawiłem się podczas występów iluzjonisty, pana Macieja. Został on specjalnie zaproszony przez „Start” na naszą kolonię i umiłał nam czas pokazując magiczne sztuczki. Pokazywał nam sztuczki z kartami, z przecinaniem sznura, który po chwili „skleił” w magiczny sposób (jednakże po dokładnym obejrzeniu sznura odgadłem na czym polegała ta sztuczka), z magiczną różdżką i wiele innych.

Mieliśmy także spotkania z prasą i telewizją. Przyjechała do nas dziennikarka z pewnego ogólnopolskiego miesięcznika. Zrobiła kilka wywiadów z dziećmi (ja także zostałem uznany przez nią za ciekawy materiał na artykuł), z wychowawcami, porobiła mnóstwo zdjęć i obiecała nam, że artykuł o naszej kolonii ukaże się w jednym z jesiennych numerów miesięcznika.

Natomiast telewizja przyjechała z Poznania (to byli reporterzy z poznańskiego oddziału TVP).

Przyjechali, pokręcili się po całym Ośrodku, nakręcili materiał filmowy i dwa dni później mogliśmy zobaczyć naszą kolonię w telewizji.

Pewnego dnia zostałem bardzo mile zaskoczony. Podczas porannego apelu prezes „Startu”, pan Edward, wywołał mnie na środek placu apelowego i powiedział:

- Mianuję kolonistę Tomasza Przybysza na stanowisko dzwonnika kolonijnego.

To było dla mnie prawdziwym szokiem i w pierwszej chwili nie wiedziałem co mam robić. Nie spodziewałem się, że spotka mnie takie wyróżnienie.

Funkcja dzwonnika była bardzo szacowna. Do jego obowiązków należało poranne budzenie całej kolonii oraz oznajmianie pory posiłków. I oto nie wiedzieć dlaczego, ja otrzymałem tę funkcję.

Rano wstawałem wcześniej od innych, zawieszałem dzwon na stojaku stojącym na placu apelowym i jego dźwięcznym tonem oznajmiałem, że oto nadszedł czas pobudki. W międzyczasie dyżurny chodził pomiędzy domkami i budził śpiochów ręcznym dzwonkiem (takim szkolnym). Po porannej toalecie i krótkich ćwiczeniach dzwoniłem na śniadanie. Kolejnym moim obowiązkiem było oznajmienie pory obiadu, a pod wieczór dzwoniłem na kolację. Ze swoich obowiązków wywiązywałem się również podczas porannych i wieczornych apeli oraz niespodziewanych zbiórek. Po moim ostatnim dzwonieniu

zabierałem dzwon do swojego pokoju (ponieważ zdarzały się już wcześniej przypadki kradzieży takich dzwonów) i następnego dnia wszystko zaczynało się na nowo. Powrót do domu przyjąłem z wyraźnym żalem. Na kolonii było tak wspaniale, że z prawdziwą niechęcią powracałem do szarej rzeczywistości. Lecz obiecałem prezesowi, że wkrótce wpadnę do „Startu” w odwiedziny. Swoją obietnicę zrealizowałem po kilkunastu dniach; po wejściu do siedziby Stowarzyszenia zaskoczyło mnie bardzo ciepłe przyjęcie. Pan Edward uściskał mnie jak własnego syna, a inni pracownicy również przywitali mnie bardzo serdecznie. Odtąd gościłem w „Starcie” bardzo często, gdyż bardzo lubiłem przebywać wśród tak życzliwych mi osób.

Rozdział czwarty

Pewnego razu umówiłem się z panem Edwardem na spotkanie w hotelu „Merkury” w Poznaniu. Opowiadałem mu kiedyś o moich niepowodzeniach w liceum i prezes powiedział wtedy, że pomoże mi w dalszym kształceniu się. W hotelu miał mi wręczyć dokumenty dotyczące nauki w Centrum Kształcenia i Rehabilitacji Inwalidów w Konstancinie-Jeziornej pod Warszawą, gdzie miałbym się uczyć w liceum ekonomicznym, a po skończeniu szkoły podjąłbym pracę w „Starcie” jako księgowy.

Na spotkanie przyszedłem pół godziny przed czasem, prezesa jeszcze nie było. Gdy jego nieobecność przedłużała się niepokojąco, przyszła mi do głowy pewna myśl: podszedłem do recepcji i uprzejmie spytałem recepcjonistkę:

- *Przepraszam bardzo, czy nikt nie zostawił tu wiadomości na nazwisko Tomasz Przybysz?*

Panienka była dla mnie bardzo miła, ale niestety, żadnej informacji nie było.

Pomyślałem, aby przejść się do „Startu” (około 500 metrów od hotelu) i zobaczyć czy prezes jeszcze jest. Niestety, w „Starcie” nikogo już nie było. Wróciłem zziębnięty do hotelu i nie mając już sił dłużej chodzić w tym upale poszedłem usiąść sobie do baru. Usiadłem w wygodnym fotelu i zastanawiałem się co mam robić dalej. Byłem już gotowy iść na autobus, gdy skierowałem wzrok na osobę drzemającą w fotelu i rozpoznałem w niej... pana Edwarda. Obudziłem go i zaczęliśmy rozmawiać o szkole w Konstancinie. Otrzymałem dokumenty potrzebne do starania się o podjęcie nauki w owym liceum, dostałem również ulotki opisujące tę szkołę i miałem kilka tygodni na podjęcie decyzji co do wyjazdu do Konstancina. Ponieważ prezes był jeszcze z kimś umówiony, więc nie przedłużaliśmy naszej rozmowy i powoli szykowałem się do wyjścia. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu przy hotelowej recepcji spotkałem jednego ze Szwedów, który był na naszej kolonii we Wągrowcu. Przywitaliśmy się serdecznie, chwilę rozmawialiśmy takim łamanym, polsko-angielskim językiem, ale ja już naprawdę musiałem iść, gdyż miałem za kilkanaście minut autobus do domu.

Decyzję o wyjeździe do liceum do Konstancina podjąłem jeszcze tego samego dnia. Miałem trochę biegania z załatwianiem badań lekarskich, z wywiadem środowiskowym z Ośrodka Opieki Społecznej, lecz największa niespodzianka czekała mnie u okulisty. Po badaniu lekarka stwierdziła, że bezwarunkowo muszę nosić okulary. Pojechałem ze skierowaniem do optyka, tam komputerowo zbadano mi wzrok i zrobiono okulary.

Gdy je założyłem pierwszy raz, to czułem się jakbym był pijany. Widziałem ostro, ale obraz był tak lekko „zniekształcony”, wszystko było bliższe niż w rzeczywistości. Idąc ulicą kilkakrotnie o mały włos nie przewróciłem się schodząc z chodnika (gdyż krawężnik był zupełnie gdzie indziej). Pomyślałem sobie wtedy, że „*co jak co, ale chyba się nie przyzwyczaję do tych okularów*”.

Pan Edward obiecał, że załatwi mi przyjęcie do liceum bez egzaminów. W połowie sierpnia dowiedziałem się, że już wszystko załatwił i zostałem przyjęty. Natomiast ja wolałem się upewnić i zadzwoniłem do sekretariatu z pytaniem czy moje nazwisko figuruje na liście osób przyjętych. W odpowiedzi usłyszałem, że... nie zostałem przyjęty, gdyż mojego nazwiska nie mają. Powiedziałem, że to wszystko było załatwiane z samym dyrektorem Centrum, ale odpowiedzieli mi, że dyrektor wyjechał na urlop, a oni nic nie wiedzą.

Zadzwoniłem z kolei do prezesa i powiedziałem mu czego się dowiedziałem. On na to, że wszystko wyjaśni.

Tymczasem mijały dni i tygodnie. Pod koniec września otrzymałem przesyłkę zawierającą moje dokumenty z adnotacją: „Z powodu nie podjęcia nauki w liceum odsyłamy Pańskie dokumenty...”. Na szczęście pan Edward uspokoił mnie, że wszystko jest już załatwione.

Trochę to trwało, ale wreszcie na początku grudnia wyjechałem do Konstancina. Jechałem pociągiem pod eskortą rodziców. Podróż minęła mi zwyczajnie, byłem tylko lekko podekscytowany i odrobinę zdenerwowany (w końcu pierwszy raz miałem mieszkać w internacie).

Na Dworcu Centralnym zobaczyłem urządzenie, które trochę mnie zaskoczyło – ruchome schody. Dotychczas widywałem je tylko w telewizji. Wchodząc na nie popełniłem drobny błąd: nie postawiłem nóg na jednym stopniu, tylko stanąłem jedną nogą na jednym, a drugą na innym stopniu. Schody zaczęły podjeżdżać w górę i zrobiły się naraz bardzo strome. Straciłem równowagę i nie mając czego się złapać (gdyż poręcz również mi „odjechała”) przewróciłem się na plecy. Na szczęście mama jechała za mną, natychmiast zatrzymała schody, pomogła mi wstać i podtrzymując mnie wjechała ze mną na górę.

Najbardziej zaboląla mnie wtedy znieczulica innych ludzi. Zebrali się wokół mnie tłumnie, lecz zamiast mi pomóc gapili się tylko jak na jakiegoś dziwaka. Tylko pewien młody człowiek okazał trochę serca i pomógł mojej mamie podnieść mnie.

Warszawa okazała się dla mnie koszmarem miastem. Owszem, byłem już w dużych miastach (jak np. Poznań, Katowice), ale to miasto przedstawiało sobą „piekło”. Wszechobecny tłok na chodnikach, pojazdów co niemiara, okropny hałas i zanieczyszczone powietrze – nie, Warszawa zdecydowanie nie należała do miejsc, które chciałbym częściej odwiedzać.

Dopiero gdy dojeżdżaliśmy do Konstancina, to moje samopoczucie zaczęło stopniowo ulegać poprawie. Tutaj ruch samochodowy był mniejszy, wkoło było mnóstwo zieleni – Konstancin bardziej przypominał cywilizowane spokojne miejsce.

Szkoła była bardzo duża. Budynek był w kształcie litery „E”, do której ktoś doczepił dodatkową „nóżkę”. Wszystko oczywiście mieściło się na parterze i było doskonale dostosowane do potrzeb osób niepełnosprawnych (także tych, którzy poruszali się na wózkach inwalidzkich). Drzwi wejściowe były na fotokomórkę (otwierały się samoczynnie), w toaletach były zainstalowane uchwyty, pokoje również mogły być zamieszkałe przez chorych na wózkach.

Zaraz przy drzwiach wejściowych znajdowała się recepcja, później były pomieszczenia biurowe oraz pracownie komputerowe. Dalej stołówka oraz mały kiosk spożywczo-przemysłowy. To była pierwsza „nóżka” litery „E”. W drugiej „nóżce” był pokój wychowawców, pokój pielęgniarek, pokoje mieszkalne oraz biblioteka. W trzeciej pokoje mieszkalne, sale lekcyjne i pracownia komputerowa. W czwartej również pokoje mieszkalne oraz sale lekcyjne. Wszystkie „nóżki” łączył długi korytarz, na początku którego znajdował się sekretariat oraz gabinet dyrektora.

Właśnie do gabinetu dyrektora trafiłem na początku. Musiałem przecież przedstawić się i wyjaśnić tę sytuację z opóźnieniem w przyjeździe do szkoły.

Wchodząc poczułem się jak w gabinecie jakiegoś ministra. Luksusowo urządzonego pokój, ogromny stół konferencyjny z ciemnego drewna – wszystko to sprawiało, że czułem się trochę skrepowany.

Dyrektor okazał się fajnym gościem. Rozmawiając z nim wyczułem, że chyba się polubimy. Lecz obraz przyjemnego pobytu w Ośrodku prysł jak bańka mydlana po wejściu kierownika internatu. W przeciwieństwie do dyrektora ten facet już na pierwszy rzut oka nie spodobał mi się. Nie wiem dlaczego, ale odniosłem wrażenie, że uważał mnie za kogoś gorszego od siebie, za muchę, która swoim bzykaniem będzie mu przeszkadzać. A gdy jeszcze zaczął się głośno zastanawiać czy dam radę nadrobić zaległy materiał, to już całkiem „stracił u mnie punkty”.

Zostałem zakwaterowany w pokoju numer 304 mieszczącym się w trzeciej „nóżce” budynku. Pokój był dwuosobowy, poprzez wspólną łazienkę połączony z sąsiednim. Nikogo w nim nie było.

Zacząłem się rozpakowywać, gdy wszedł pewien chłopak. Stał na progu, popatrzył ze zdziwieniem na mnie i na moje bagaże. Za nim weszła pewna dziewczyna, która powiedziała:

- Krzysiek, masz nowego lokatora.

On podszedł do mnie, wyciągnął rękę i przedstawił się:

- Krzysztof jestem.
- Tomek – odpowiedziałem.

Wróciłem do rozpakowywania się, a on wyszedł z pokoju. Rodzice również zaczęli zbierać się na autobus do Warszawy i zostałem sam. Ale nie na długo. Po godzinie Krzysiek wrócił do pokoju z dwoma chłopakami.

- Poznaj swoich nowych kumpli. To jest Piotrek, a to Grzesiek, i będziesz z nimi chodził do jednej klasy.

Chwilę rozmawialiśmy, a później oni poszli do swoich pokojów, a ja wyciągnąłem się na łóżku, aby odpocząć po męczącej podróży.

Pierwsze dni w nowej szkole były takie „nijakie”. Byłem trochę onieśmielony nowością sytuacji i faktem, że znajduję się tak daleko od domu, ale ta niepewność szybko mi przeszła. Chyba każdy uczeń czuł się podobnie w nowej szkole.

Ponieważ przyjechałem do szkoły po południu, było już po lekcjach, więc moje pierwsze spotkanie z klasą nastąpiło dopiero następnego dnia. Rano o godz. 7.15 mieliśmy śniadanie, a od ósmej zaczynały się lekcje. Pod salą lekcyjną byłem pierwszy. Troszkę byłem podenerwowany, ale nie dawałem tego poznać

po sobie. Powoli zaczęli się schodzić pozostali uczniowie. Najpierw przyszedły dwie dziewczyny (jedna na wózku), potem jakiś chłopak, znów dziewczyna, dwóch chłopaków... i klasa robiła się coraz bardziej gwarna.

Z początku wszyscy mnie obserwowali, lecz z każdą upływającą lekcją moja osoba traciła na zainteresowaniu. Na dużej przerwie podeszli do mnie Piotrek i Grzesiek (których poznałem poprzedniego dnia), zaczęliśmy rozmawiać i nie czułem się już taki wyobcowany. Przedstawili mi każdego ucznia i przynajmniej wiedziałem już kto jak ma na imię.

Nauczyciele byli w porządku. Nasza wychowawczyni, pani Anita, poruszała się na wózku inwalidzkim, ale robiła to z takim wdziękiem, że niejedna zdrowa kobieta mogłaby pozazdrościć jej gracji. Z miejsca ją polubiłem. Ona również okazywała mi wiele życzliwości i zrozumienia.

Pozostali nauczyciele również byli ok., z jednym tylko wyjątkiem. Tym wyjątkiem była nasza polonistka. Nie wiem dlaczego, ale zawsze traktowała mnie jak wroga. Nie potrafiła zapamiętać poprawnie mojego nazwiska, więc zmieniła je (bez mojej zgody) na „Przybyłko”. Podobno taka odmiana była łatwiejsza dla niej do zapamiętania. Chociaż na pierwszym egzaminie zaskoczyłem ją doskonałym napisaniem dyktanda (brakowało w nim tylko dwóch przecinków), to jednak z każdym następnym dniem coraz bardziej mnie nienawidziła. Owszem, zdarzało się, że byłem nieprzygotowany na lekcję (gdyż miałem mnóstwo materiału do nadrobienia i czasami nie miałem już siły wciążyć się uczyć), ale to nie jest powód do nienawiści. Doszło do tego, że po kilku tygodniach wręcz otwarcie okazywaliśmy sobie wrogość. No ale jak być życzliwym dla kogoś, kto pewnego dnia powiedział mi głośno przy całej klasie:

- „*Wracaj tam skąd przybyłeś, bo nie chcemy tu kogoś takiego jak Ty!*”.

Na szczęście niesmak tej wrogości zatarły inne osoby. Poznałem m.in. Agnieszkę, która była „internatową opiekunką” naszej klasy (to była ta dziewczyna, która przysłała razem z Krzyśkiem podczas pierwszego dnia mojego pobytu w szkole), panią psycholog (z którą nieraz odbywałem długie rozmowy), pana Bogdana – właściciela małego kiosku mieszczącego się przy stołówce (jego córka chodziła do naszej klasy), a przede wszystkim poznałem całe mnóstwo osób mieszkających w internacie. Niektórzy nie wywarli na mnie najlepszego wrażenia, z niektórymi się zaprzyjaźniłem, ale tak ogólnie to dobrze się tam czułem. Chociaż jedna rzecz była dla mnie ciągłą udręką: 90% osób mieszkających w internacie preferowało muzykę tzw. „ciężką” (heavy metal, hard rock itp.), której z kolei ja nie cierpiełem i od której powoli zacząłem robić się nerwowy.

Z Krzyśkiem mieszkało mi się znakomicie. Chociaż on również słuchał „ciężkiej” muzyki, ale poza tym był fajnym kumplem. Wielokrotnie leżąc w łóżkach gadaliśmy sobie do późnej nocy, ja mu opowiadałem o Wielkopolsce, a on mi o morzu (mieszkał w Stargardzie Gdańskim).

Kiedyś byliśmy razem w łazience. On się kąpał, a ja goliłem swój młodzieńczy zarost. Tak jakoś zgadało nam się o naszych chorobach. Zauważyłem, że Krzysiek w gruncie rzeczy wygląda zupełnie normalnie, tylko chodzi tak trochę sztywno i dość wolno. Zapytałem go wtedy:

- Krzysiek, a na co Ty właściwie chorujesz? Powiem Ci, że wielokrotnie zastanawiałem się nad tym, ale jakoś nie mogę zgadnąć. Właściwie to nie widać po Tobie żadnej choroby.
- Słyszałeś o stwardnieniu rozsianym? Jest to choroba powodująca powolny zanik mięśni, nieuleczalna zresztą. Teraz jeszcze jestem w dobrym stanie, ale np. za pół roku czy za rok mogę trafić na wózek.
- No to możemy podać sobie ręce – odpowiedziałem mu. – Moja choroba też jest nieuleczalna, też powoli pogarsza moje ruchy, tylko ja mogę prędzej trafić na wózek. Mogę jutro się obudzić i nie będę mógł wstać z łóżka o własnych siłach.

Nie zdawałem sobie wtedy sprawy z tego, że te słowa za kilka miesięcy okażą się prorocze.

I tak upływał mi dzień za dniem, aż powoli zbliżała się Wigilia. Byłem z rodzicami umówiony w szkole, mieli po mnie przyjechać i z powrotem wracać mieliśmy razem. Lecz namówiony przez Grzegorza nie czekałem na rodziców, tylko pojechałem z nim do Warszawy na Dworzec Centralny. Tu nasze drogi się rozeszły, gdyż ja wracałem do Wielkopolski, natomiast Grzegorz jechał nad morze.

Podczas tej podróży byłem niesamowicie obciążony. Oprócz podręcznej aktówki z drobiazgami miałem jeszcze dużą turystyczną torbę wypełnioną moimi rzeczami i książkami (które bałem się zostawić w internacie).

Ponieważ do przyjazdu pociągu miałem kilka godzin wolnego czasu (na Dworcu Centralnym byłem około godz. 13, mój pociąg odjeżdżał dopiero około 16), więc postanowiłem sobie połączyć po Dworcu.

Bagaż oddałem do przechowalni (gdyż daleko bym z nimi nie zaszedł) i ruszyłem w trasę. Dworzec był tak ogromny, że bałem się, iż nie trafię z powrotem do przechowalni po moje bagaże. Zwiedziłem zaledwie mały kawałek (przy okazji kupiłem mamie prezent na imieniny) i czas już był iść na pociąg. Do przechowalni wróciłem bez większych problemów, odebrałem bagaż i ruszyłem na peron. Mając w pamięci mój upadek z ruchomych schodów tym razem poszedłem na zjazd dla wózków. Zjechałem na dół i... utknąłem w tłumie. Ludzi było mnóstwo, gdyż tym pociągiem wracali z pracy do domu okoliczni mieszkańcy. Przeciskałem się w tej masie i zastanawiałem się jak wejść do pociągu.

Gdy pociąg podjechał, to zaczęło się piekło. Wszyscy zaczęli się niesamowicie tłoczyć przy wejściach do wagonów, obawiałem się, że ludzie mnie strącą lub zostaną na peronie, bo nie dam rady się wcisnąć do pociągu. Na szczęście ludzie byli dość życzliwi i uprzejmi, widząc osobę niepełnosprawną robili mi miejsce, ktoś pomógł mi wsiąść do wagonu i po kilku minutach postoju pociąg ruszył w drogę.

Jechaliśmy ściśnięci jak śledzie w beczce. O tym aby znaleźć miejsce siedzące nawet nie miałem co marzyć. Stojąc na korytarzu pilnowałem tylko swojego bagażu, aby w tym ścisisku nie ulotnił się.

Pociąg po każdym postoju robił się coraz luźniejszy, ludzi było coraz mniej i po godzinie jazdy znalazłem w przedziale miejsce siedzące. Usiadłem sobie z przyjemnością, gdyż od tego stania strasznie bolały mnie nogi. Na bagaż jeszcze nie było miejsca w przedziale, więc zostawiłem go na korytarzu, ale cały czas miałem na niego oko. A po następnych kilkunastu minutach w przedziale zrobiło się na tyle pustawo, że mogłem już go wziąć z korytarza.

W pociągu było strasznie gorąco, ja byłem bardzo zmęczony (na nogach byłem już od godz. 6 rano po sześciu godzinach snu), więc coraz bardziej zamykały mi się oczy. Obawiałem się, że mogę przespać Poznań i obudzić się w Berlinie lub Paryżu (gdyż podróżowałem pociągiem Eurocity). Ponieważ dwie osoby jadące razem ze mną w przedziale również wysiadały w Poznaniu, więc poprosiłem je aby obudziły mnie przed Poznaniem gdybym przypadkiem usnął.

Po dziesięciu minutach spałem już w najlepsze. Mogliby mnie okraść ze wszystkiego, ja nawet bym nie poczuł. Obudziłem się trochę wypoczęty koło Wrześni i do samego Poznania już nie spałem.

W Poznaniu miałem problem z wyjściem z pociągu (gdyż peron okazał się bardzo niski i trudno mi było zrobić ogromny krok ze stopnia pociągu na ziemię), na szczęście znów natrafiłem na ludzką życzliwość. Bagaże pomogła mi znieść na peron prześliczna Rosjanka, a w odpowiedzi na moje podziękowanie dała mi całusa w policzek i zniknęła „jak sen jaki złoty”.

Do dworca autobusowego dotarłem ledwie żywy. Obawiałem się, że nie będę miał siły wejść do autobusu, ale jakoś wykrzesalem resztki energii na ten ogromny wysiłek. Miałem do domu 45 minut jazdy i przez ten czas zbierałem siły na ostatni odcinek trasy – z przystanku autobusowego do domu. I znów moja szczęśliwa gwiazda mnie nie opuściła. W autobusie spotkałem sąsiada, który w Żabnie wziął moje bagaże i pomógł mi zanieść je do domu.

W domu okazało się, że rodzice pojechali po mnie do Konstancina. Przyjechali do Poznania następnym pociągiem po mnie, a potem wrócili do domu. Tu dostałem burę, że co ja sobie wyobrażam, że tak daleko jechali nadaremno, następnym razem to w ogóle nie przyjadą po mnie...

Mimo tego święta upłynęły mi w miłej rodzinnej atmosferze. Na początku stycznia 1993 roku powróciłem do Konstancina na dalszą naukę. Internat przez święta był pusty, nie był przez ten czas ogrzewany, więc wróciłem „na Syberię”. Przez pierwsze dni wszyscy bez wyjątku oblegali kaloryfery, ale z czasem budynek się ogrzał i znów było ciepło.

W połowie marca na tablicy ogłoszeń znalazłem wywieszkę, że w najbliższych dniach odbędzie się w internacie koncert pewnego piosenkarza – Zbigniewa Gniewaczewskiego. Przyznam się, że nigdy o nim nie słyszałem, razem z kumplami zastanawialiśmy się czy warto będzie iść na ten koncert (który był darmowy).

- A co tam! – powiedziałem. – Najwyżej po pierwszej piosence wyjdziemy z sali. Pójdziemy się przekonać co to za artysta.

Koncert odbył się w stołówce wieczorem (po kolacji). Przyszło na niego tyle osób, że dla nas nie było już miejsca (trochę się spóźniliśmy z przyjściem). Ale usiedliśmy sobie przy stołówce na fotelach i mieliśmy chyba nawet lepiej niż ci na stołówce. Piosenki było słyszeć znakomicie, a przynajmniej nie musieliśmy się tłoczyć z innymi.

Posłuchaliśmy jednej piosenki, później drugiej, potem jeszcze następnej i... spodobał nam się ten piosenkarz. Jego utwory były mieszane – szybkie i wolniejsze, muzyka natomiast była taka

„przejmująca”. Tak mi się spodobała, że po koncercie kupiłem kasetę magnetofonową z własnoręcznym jego autografem (dziś jest jedną z moich pamiątek z Konstancina).

Miałem również okazję wybrać się na koncert kabaretu OTTO w Warszawie. Zajechaliśmy autokarem pod jeden z teatrów (gdzie mieli występować), a ponieważ do wjazdu na parking była spora kolejka, więc czekaliśmy na swoją kolej. Wyglądałem sobie przez okno, gdy nagle zobaczyłem jak podjeżdża jakiś zachodni samochód, zaparkował na chodniku, a po chwili wysiadł z niego elegancki facet. W pierwszej chwili pomyślałem sobie na jego widok: „Skąd ja znam tego gościa?”, przyjrzałem mu się dokładniej i... oniemiałem – to był jeden z członków kabaretu OTTO – Wiesław Tupaczewski. Wyglądał zupełnie inaczej niż w telewizji i chyba nie rozpoznalibyśmy go na ulicy.

Wjechaliśmy wreszcie na parking, wyszliśmy z autokaru i weszliśmy do teatru. Trochę było problemów z wnoszeniem osób na wózkach do sali (do której prowadziło kilkanaście schodów – na szczęście niskich), ale wreszcie siedzieliśmy na pełnej sali i z niecierpliwością czekaliśmy na występ.

Kabaret OTTO jak zwykle był wspianiały, wszyscy byli po ich występie poobrywani ze śmiechu. Później za kulisami mogliśmy ich poznać osobiście, poprosić o autograf, chwilę porozmawiać. Do Konstancina wszyscy wracali w doskonałych nastrojach.

Mijały dni i tygodnie, a ja miałem coraz większe trudności z nauką. Oprócz materiału bieżącego musiałem uczyć się zaległości, a im więcej się uczyłem, tym mniej wiedziałem. Pod koniec marca doszedłem do wniosku, że nie ma sensu dalej się przemęczać ponad siły i stwierdziłem, że czas wracać do domu. Na tę decyzję wpływ miało również pogorszenie się stanu mojego zdrowia (miałem coraz większe trudności z chodzeniem). Z wielkim żalem pożegnałem się z mieszkańcami internatu, ze znajomymi, przyjaciółmi, nauczycielami (choć we wzroku mojej polonistki wyczytałem wielką ulgę), tym razem czekałem cierpliwie na rodziców i po czterech miesiącach pobytu w Konstancinie wróciłem do domu.

Zdrowie pogarszało mi się w bardzo szybkim tempie. Choroba gwałtownie zaatakowała moje nogi czyniąc je coraz słabszymi i sztywniejszymi. Czasami nie mogąc utrzymać równowagi przewracałem się, a każdy z tych upadków przyspieszał rozwój FOP i sprawiał, że coraz bardziej traciłem władzę w nogach (o dziwo, ręce miałem przez te wszystkie lata sprawne na tym samym poziomie co po wyjściu ze szpitala, choroba skoncentrowała się głównie na biodrach i nogach).

W październiku 1993 roku byłem z mamą w gminnej bibliotece po nową porcję książek. Było tam strasznie gorąco, ja byłem okryty grubą, ortalionową kurtką, idąc między regałami nagle poczułem, że robi mi się ciemno przed oczami i... straciłem przytomność w momencie upadku na podłogę. Mama z panią bibliotekarką natychmiast zaczęły mnie cucić, ale nie odzyskiwałem przytomności. Dopiero masaż serca doprowadził do tego, że otwarłem oczy i spytałem „Co się stało?”.

Przyjechała karetka pogotowia, gdy lekarz zobaczył w jakim jestem stanie, momentalnie kazał mnie położyć na noszach i pojechaliśmy do szpitala do Śremu. Tam zostałem przez tydzień na obserwacji z podejrzeniem lekkiego wstrząsu mózgu.

Ten tygodniowy pobyt przypomniał mi początki mojej choroby i dwa lata spędzone w poznańskich szpitalach. Dwa razy dziennie miałem podawaną kroplówkę, brałem również sporo tabletek, na dodatek byłem na diecie (choć mój żołądek wciąż domagał się porządnego posiłku). Ale rodzina odwiedzała mnie dość często, przywieźli mi książki do czytania, więc nie czułem się tam tak źle. Na dodatek przychodziła do mnie śliczna pielęgnarka, więc pobyt upłynął mi bardzo miło.

Po tygodniu zostałem wypisany ze szpitala i mogłem wrócić do domu. Gdy pierwszy raz zobaczyłem się w lustrze, to nie poznałem własnej osoby – na czole wielki guz, koło pękniętej skóry ogromny strup w kolorze fioletowym (zresztą całe czoło miałem fioletowe od gencjany). Jeszcze długo nie mogłem zmyć tego fioleto z czoła, dopiero po zagojeniu się rany zeszło mi to wszystko razem z naskórkiem.

Ten upadek również nie był obojętny dla mojego zdrowia. Miewałem czasami bóle głowy, a nogi słabły coraz bardziej. W dwa miesiące po tym wypadku (w Sylwestra 1993 roku) miałem już tak zablokowane stawy, że nie byłem w stanie zejść o własnych siłach ze schodów. Ostateczny kres samodzielnego chodzenia nastąpił trzy dni później – 3 stycznia 1994 roku. Nie miałem już sił, aby samemu wstać z łóżka, dopiero przy pomocy ojca udało mi się podnieść, jednak moje nogi były już za słabe aby mnie dźwigać.

I tak oto zostałem skazany na długie tygodnie samotności. Nikt z moich rówieśników nie przyszedł do mnie z wizytą, zapomnieli o mnie wszyscy, a ponieważ chodzenie bardzo mnie męczyło (nie byłem w stanie zrobić więcej niż kilka kroków), więc pozostało mi tylko siedzenie w pokoju, oglądanie telewizji

(która bardzo szybko mi się znudziła), czytanie książek (co kilkanaście dni miałem przywożoną z biblioteki nową porcję lektury) oraz zabawa „namiastką komputera” – moim ukochanym Commodore C64.

Dopiero po około czterech miesiącach samotnego życia w pokoju przyszli do mnie pierwsi goście z wizytą. Były to moje koleżanki z sąsiedztwa. Posiedziały chwilę, lecz nie czując się zbyt dobrze w moim towarzystwie (nie wiedziały o czym ze mną rozmawiać) wkrótce poszły.

Moja mama oczywiście starała się o wózek inwalidzki dla mnie, lecz trwało to bardzo długo. Ta wszechobecna biurokracja (która bardziej utrudniała życie osobom niepełnosprawnym, niż im pomagała), oczekiwanie na sprowadzenie wózka z Warszawy, niepewność, czy wózek będzie odpowiedni – to wszystko sprawiało, że każdy dzień zdawał się być wiecznością.

Po pięciu miesiącach oczekiwania otrzymałem wreszcie swój wymarzony pojazd. Gdy po raz pierwszy wyjechałem na dwór, słońce niemal mnie oślepiło, a zapach świeżego powietrza zaparł mi dech w piersi. Z początku wręcz bałem się wyjeżdżać na spacer, gdyż ludzie których mijałem nieznosnie się na mnie gapili. W Żabnie nie było poza mną osób niepełnosprawnych na wózkach, więc dla mieszkańców byłem „nowością”. To mnie tak bardzo onieśmiało, że na spacer z reguły wyjeżdżałem wieczorami. Lecz później ludzie oswoili się z moim widokiem i nie budziłem już takich sensacji.

Rozdział piąty

Na początku 1995 roku poznałem pana Franciszka, prezesa poznańskiej Fundacji Pomocy Dzieciom Niepełnosprawnym. Słyszając o moim zamiłowaniu do komputerów pan Franciszek zaczął mnie namawiać do kupna owego „cudu techniki”, dzięki któremu mógłbym znaleźć sobie jakąś pracę. Niestety, stan finansowy mojego portfela był opłakany i tymczasowo nie było mnie stać na kupno komputera.

Pan Franciszek zaproponował mi również wyjazd na kolonie w lipcu. Miał to być dwutygodniowy pobyt w Skokach – miejscowości leżącej niedaleko Wągrowca, gdzie byłem trzy lata wcześniej pod opieką „Startu”. Ponieważ od tamtej kolonii we Wągrowcu nie byłem nigdzie (gdyż pobytu w Konstancinie nie mogę żadną miarą zaliczać do wyjazdu wypoczynkowego), więc zgodziłem się bez wahania, tym bardziej że Ośrodek Opieki Społecznej zrefundował mi część kosztów wyjazdu.

Miały to być moje pierwsze kolonie na wózku. Trochę się obawiałem jak to będzie, ale byłem dobrej myśli i jechałem w doskonałym humorze.

Ponieważ choroba usztywniła mnie w pozycji półleżącej, więc nie mogłem jechać z innymi dziećmi autokarem. Zostałem na miejsce zawieszony samochodem przez rodziców. Nie spieszyliśmy się wcale z jazdą, po drodze zatrzymaliśmy się na przydrożnym parkingu na obiad, przyjechaliśmy zatem do Skoków z małym opóźnieniem. Wszyscy byli już na obiedzie, a ponieważ ja jadłem wcześniej, więc nie byłem głodny i miałem czas aby rozejrzeć się po swoim nowym „domu”.

Ośrodek był przestronny, położony w przepięknej okolicy nad jeziorem, a co najważniejsze – był przystosowany (choć w niezbyt dużym stopniu) do osób poruszających się na wózkach inwalidzkich. Zrobił na mnie bardzo pozytywne wrażenie i czułem że będę się tu dobrze bawił.

Po obiedzie wszyscy zostali rozlokowani w pokojach. Otrzymałem pokój czteroosobowy, który dzieliłem razem z trzema innymi chłopakami. Na początku panowało w pokoju milczenie, lecz wkrótce lody zostały przełamane i szybko nawiązaliśmy znajomość.

Po kilkunastu minutach przyszedł jeden z wychowawców i powiedział, że wszyscy koloniści mają się zgromadzić w stołówce na apel. Mnie zawiózł jeden z współlokatorów – mój imiennik Tomek (którego traktowałem jak młodszego brata). Gdy już cała kolonia zebrała się w stołówce, powiodłem po nich wzrokiem i pomyślałem sobie:

„Chyba nie będzie tu tak źle. Towarzystwo urozmaicone wiekowo, okolica ładna, jezioro pod nosem, zatem na nudę raczej nie będziemy narzekać.”

Chwilę później mój wzrok padł na grupę wychowawczyń. Z grupy tej wyróżniała się pewna dziewczyna. Gdy ją zobaczyłem, to dosłownie aż mi dech zaparło, taka była prześliczna. Jeszcze nigdy nie spotkałem tak cudownej istoty (piszę „istoty”, bo wydawała mi się taka nierealna jak anioł – i jak anioł nieziemsko piękna). Przypominała świeżo rozwinięty kwiat róży pachnący czystą miłością. Zamknąłem na chwilę oczy i wiedziałem, że tego widoku nie zapomnę do końca życia.

Była drobną, niską panią o włosach spadających na ramiona (koloru świeżo wyłuskanych kasztanów). Miała niesamowicie zgrabną figurę, miękkie rysy twarzy, bardzo delikatne dłonie oraz intensywnie zielone oczy (z których promieniowała życzliwość i dobroć). Jeszcze nigdy nie widziałem tak niewiarygodnie ślicznej osoby, przez chwilę przeszła mi przez głowę myśl, że oto anioł zstąpił z nieba, aby zaopiekować się śmiertelnikami.

Zaczął się podział kolonistów na grupy. Ja wciąż nie mogłem oderwać wzroku od tego prześlicznego anioła, przez głowę przeszła mi myśl, aby poprosić ją by zaopiekowała się moją grupą, lecz z powodu mojej wrodzonej nieśmiałości nie byłem w stanie wykrztusić przy niej ani słowa. Zacisnąłem tylko kciuki i intensywnie prosiłem Boga o spełnienie mojego marzenia. I oto stał się cud! Widocznie tego dnia w niebie był „Dzień Dobroci dla Niepełnosprawnych” i moja prośba została spełniona. Jako jeden z ostatnich kolonistów zostałem przydzielony pod opiekuńcze skrzydła mojego wymarzonego anioła. Wszyscy wracali do swoich pokojów, mnie także koledzy zabrali z powrotem. Byliśmy już w pokoju, gdy ktoś zapukał do drzwi. Po chwili weszła nasza opiekunka. Z bliska wydawała mi się jeszcze piękniejsza i znów poczułem, że serce mi galopuje w piersi.

Popatrzyła na mnie swoimi prześlicznymi oczami i powiedziała:

- Mam na imię Agnieszka i przez najbliższe dwa tygodnie będę zastępowała Ci mamę.
- „Oddałbym pół życia, aby te dwa tygodnie nigdy się nie skończyły” – przez głowę przeleciała mi myśl.

Agnieszka zabrała się do rozpakowywania moich rzeczy, a zapytawszy mnie jak ma się mną opiekować usłyszała w odpowiedzi:

- Jest bardzo niewiele rzeczy, które mogę wykonywać sam, właściwie to mogę tylko umyć się i najeść samodzielnie, więc proszę mnie traktować jak dużą lalkę. – powiedziałem te słowa z uśmiechem.

Odwzajemniwszy mój uśmiech Agnieszka do reszty rozpakowała moją torbę i poszła do swojego pokoju. Zostałem sam z książką w ręce, marzeniami i odrobiną radości w moim serduszk...

Pierwsze dni pobytu na kolonii upłynęły mi jak we śnie. Gdyby ktoś mnie uważnie wtedy obserwował, to zauważyłby, że z moich oczu powoli znika cierpienie, a zaczyna z nich promieniować szczęście.

Agnieszka zadbała o mnie tak doskonale, iż wydawało mi się że trafiłem do raju. Już następnego dnia po przyjeździe przyszła do mnie rano i zapytała o szczoteczkę do zębów. Gdy odpowiedziałem, że „zapomniałem”, kupiła mi ją w kiosku razem z miętowym płynem do płukania zębów. Ponieważ ja nie mogłem unieść rąk do twarzy (myłem się specjalnie przystosowaną gąbką), więc usiadła mi na wózku i powiedziała:

- Teraz otwórz usta jak możesz najszerzej i zabieramy się za Twoje zęby. Tylko nie łykaj za dużo pasty, bo nie będziesz mi później jadł obiadu.

Z roześmianymi oczami zaczęła mi szorować zęby, a ponieważ miałem lekko przekrwione dziąsła, więc szczoteczka po chwili zrobiła się różowa. Gdy już uznała, że wystarczy tego dobrego – wypłukałem resztki pasty wodą, a następnie otrzymałem płyn do przepłukania zębów. Wziąłem łyk i... świeceki stanęły mi w oczach. Płyn był tak ostry, że nie mogłem złapać oddechu. Dopiero po przeczytaniu ulotki informacyjnej dowiedzieliśmy się, że ten płyn należy rozcieńczać wodą.

Miałem również robione codziennie ziołowe maseczki, które miały poprawić nienajlepszy stan mojej cery. Agnieszka robiła mi te maseczki na zmianę z pielęgniarzką Moniką. Zamykałem zawsze oczy i po dotyku próbowałem odgadnąć która z nich bawi się w kosmetyczkę. Nigdy jednak nie miałem żadnych trudności z rozróżnieniem dłoni Moniki od Agnieszki, gdyż ich zabiegi kosmetyczne różniły się diametralnie. Monika bardzo delikatnie wklepywała maseczkę w moją twarz, lecz robiła to dość szybko. Natomiast Agnieszka nigdy się nie spieszyła, jej delikatne dłonie muskały moją twarz jak skrzydła motyla i po każdej jej maseczce czułem się cudownie.

Pewnego razu kierownik kolonii, pan Marek, przyszedł do mojego pokoju podczas jednego z takich zabiegów kosmetycznych, a widząc jak Monika oklepuje mi twarz zapytał:

- Jak Ty możesz, Tomku, tak dawać bić się kobietom?

Na co mu odpowiedziałem:

- Wie Pan jak to jest, najpierw pobije, a potem przytuli...

Kiedyś zdarzyło mi się troszkę przysnąć na balkonie na słońcu. Obudziła mnie Agnieszka, wzięła do pokoju i bez słowa pokazała mi lusterko. Spoglądała na mnie twarz czerwona jak burak, na szczęście jeszcze bez bąbli.

Monika przyniosła jakąś piankę przeciwko oparzeniom słonecznym i zaraz rozsmarowała ją na poparzone miejsca. Mimo to przez cały dzień nie czułem się najlepiej, a wieczorem dostałem sporej gorączki.

Ponieważ poparzona twarz bardzo mnie bolała, nie mogłem spać, więc Agnieszka robiła mi kompresy z mokrej gazy. Przynosiły mi one ulgę, chociaż byłem tak rozpalony, że kompres położony na mojej twarzy po trzech minutach był już całkowicie suchy. Agnieszka siedziała przy mnie do późnej nocy, dopiero gdy twarz już mnie tak bardzo nie paliła i zasnąłem, ona także poszła położyć się spać...

Agnieszka w opiekę nade mną włożyła całe swoje serce i żadne słowa nie opiszą szczęścia promieniującego ze mnie. Każde dotknięcie jej delikatnych dłoni przeszywało mnie dreszczem, każdy jej uśmiech był jak promyk słońca na niebie, a jej oczy zawsze błyszczały niezwykłym blaskiem. Za każdym razem gdy Agnieszka przychodziła do mnie, z mojej twarzy nie schodził uśmiech, wpatrywałem się w jej zielone oczy i w moim serduszk powoli rodziło się uczucie, którego nigdy jeszcze nie zaznałem. Po raz pierwszy poczułem delikatny smak miłości.

Zresztą tylko człowiek o kamiennym sercu nie pokochałby tak ślicznej istoty. Ja nie miałem serca z kamienia, więc zakochałem się w niej po uszy. Te chwile spędzone wspólnie były najszczęśliwszymi chwilami w moim dotychczasowym życiu.

Jednakże z powodu swej ogromnej nieśmiałości nigdy nie zdobyłem się na wyznanie Agnieszce tego, co się we mnie narodziło. Zdawałem sobie sprawę z tego, że nie mam prawa pokochać takiego anioła. Ja – zwykły, powoli zamieniający się w roślinę (gdyż moja choroba coraz bardziej mnie paraliżowała), szary człowieczek miałbym unieszczęśliwić taką cudowną istotą jak Agnieszka próbując związać się z nią? Przenigdy! Nie mogłem od niej wymagać aż takiego poświęcenia. To już wolałbym do końca mego życia pozostać sam.

Milczałem również dlatego, że między nami nawiązała się nić przyjaźni, która była dla mnie taką namiastką miłości. Agnieszka była o rok młodsza ode mnie (ja miałem 22 lata, a ona 21), lecz nie traktowała mnie tylko jak swego podopiecznego, ale raczej jak przyjaciela. Ja opowiadałem jej o życiu na wsi, o moim smutnym dzieciństwie, zwierzałem jej się ze swoich radości i problemów. Natomiast Agnieszka mówiła mi o życiu miejskim, o planach związanych ze studiami, o swojej rodzinie... Bawiliśmy się znakomicie w swoim towarzystwie i chociaż Agnieszka miała pod swoją opieką jeszcze kilkoro dzieci, to najwięcej czasu spędzała właśnie ze mną (choć opieką nade mną nie była aż tak bardzo absorbująca).

Odkąd zacząłem poruszać się na wózku, nie miałem jeszcze okazji skorzystać z kąpieli w jeziorze, dopiero na tej kolonii mogłem sobie popływać. Gdy po raz pierwszy zostałem wprowadzony do wody, to przez moment aż zadygotałem z zimna (rozgrzana na słońcu skóra gwałtownie ochłodziła się w wodzie). Wprowadzali mnie na coraz głębszą wodę, aż nagle Monika zawołała:

- Tomeczku, Twój zegarek!

Rzeczywiście, na ręce miałem zegarek, o którym całkowicie zapomniałem. Ale po chwili odpowiedziałem jej z wrodzonym poczuciem humoru:

- Podobno jest wodoszczelny, tak przynajmniej powiedział mi zegarmistrz, więc mam teraz okazję to sprawdzić.

Gdy już woda sięgała mi do pasa, położyłem się na wznak, a Agnieszka zaczęła mnie holować coraz dalej od brzegu. Jeszcze trochę dygotałem z zimna, ale powoli moja skóra przyzwyczaiła się do temperatury wody i już wszystko było w porządku. Zatrzymaliśmy się kiedy woda sięgała mi prawie po szyję, stanąłem na nogi, Agnieszka odsunęła się ode mnie i nakazała abym ją gonił.

Zrobiłem pierwszy samodzielny krok, potem drugi i trzeci i... nagle powietrze przeszył mój triumfalny okrzyk:

- Hura!!! Mogę chodzić!

Woda sprawiła, że moje ciało stało się lekkie, odciążyla moje nogi i z łatwością utrzymując równowagę ruszyłem na „spacer” pod czujnym okiem Agnieszki. Wychowawczynie patrzyły na mnie ze zdumieniem, natomiast pan Marek zawołał:

- Tomku, jeśli tak ładnie chodzisz to może wyskoczmy wieczorem na piwo?
- Bardzo chętnie – odrzekłem – tylko nie wiem czy moja „mamusia” mnie puści!
- To „mamusię” zabierzemy ze sobą! – pan Marek był jak zwykle niemożliwy.

Te „spacery” oraz zabawa w wodzie z Agnieszką stały się odtąd formą mojej rehabilitacji i jeśli tylko pogoda dopisywała, to pluskaliśmy się w jeziorze.

Pewnego dnia gdy cała moja grupa była na ćwiczeniach (ja z racji stanu swego zdrowia byłem z rehabilitacji zwolniony) przyszła do mnie Agnieszka. Była trochę zmęczona po nieprzespanej nocy i nie miała zbytnio ochoty na pogawędkę. Ponieważ ja akurat czytałem książkę, więc zaproponowałem, że trochę poczytam jej na głos. Agnieszka się zgodziła, położyła się na moim łóżku i zaczęła słuchać mojej lektury. Po kilkunastu minutach jej oczy powoli się zamknęły, oddech zrobił się cichy i spokojny i mój anioł zapadł w sen. Mimo to nadal czytałem głośno. Nawet gdy chłopaki przyszli z ćwiczeń i wpadli do pokoju z hałasem, ja nie przerywając czytania pokazałem im „śpiącą królową” i nakazałem aby byli cicho. Po jakichś dwóch godzinach Agnieszka obudziła się i podziękowała mi za lekturę. Lekko zachrypniętym głosem odpowiedziałem, że „cała przyjemność po mojej stronie”.

Innym razem wpadł mi do głowy niesamowity pomysł, aby... poprosić Agnieszkę o rękę. Razem z moim „młodszym braciszkiem” Tomkiem przystąpiliśmy do realizacji tego planu. Cichaczem zerwaliśmy kilka różyczek z klombu znajdującego się pod blokiem, Tomek zawiózł mnie pod stołówkę i poszedł po Agnieszkę. Próbowałem przygotować sobie jakiś tekst, ale gdy ujrzałem przed sobą mojego anioła, to serce podeszło mi do gardła, a myśli zaczęły wirować w mej głowie jak na karuzeli. Byłem taki spięty, że nie wiedziałem co mam powiedzieć. Zmobilizowałem się jednak i trzymając różyczki w dłoni spytałem

cicho: „*Agnieszko, czy mogę Cię prosić o rękę?*”, a serce ścisnęło mi się z bólu, bo wiedziałem, że nigdy nie wypowiem tych słów naprawdę. Agnieszka również nie wiedziała co powiedzieć (ponieważ cała ta sytuacja bardzo ją zaskoczyła) i dopiero po chwili odpowiedziała: „*Tak*”. W tym momencie poczułem się najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

Na stołówce (gdyż zaraz szliśmy na obiad) wszyscy spoglądali na róże stojące na naszym stole i pytali Agnieszki skąd je wzięła. Natomiast ona niezmiennie odpowiadała, że otrzymała je ode mnie...

Przyszedł wreszcie czas na ostatnią dyskotekę na tej kolonii. Miała to być dyskoteka połączona z balem przebierańców. Ponieważ ja nie miałem żadnego pomysłu na kostium, więc za namową Agnieszki zdecydowałem się przebrać za Indianina (gdyż byłem wręcz „spalony” przez słońce, więc nie miałem zbyt wielu problemów z przebraniem). Agnieszka towarzyszyła mi w przebraniu rusałki i wyglądała w nim prześlicznie. Chociaż wszyscy byli weseli i roześmiani, przez cały czas dokuczała mi myśl, że oto po raz ostatni tańczę z Agnieszką. Mimo, iż bawiłem się znakomicie, to jednak w głębi duszy zrobiło mi się smutno.

Po dyskotekę Agnieszka poszła zobaczyć czy dzieci z naszej grupy śpią, a ja zostałem jeszcze na dworze. Przez chwilę byłem sam i mogłem w ciszy i spokoju trochę porozmyślać. Później przyszła Agnieszka, usiadła przy mnie na ławce i rozmawialiśmy o swoich planach na przyszłość. Agnieszka miała zamiar studiować w Poznaniu, natomiast ja chciałem podjąć jakąś pracę, aby nie siedzieć beczynnie w domu. Siedząc przed blokiem spoglądaliśmy na gwiazdy, cieszyłem się ostatnimi chwilami, gdy mogłem być sam na sam z Agnieszką. Ten czas spędzony wspólnie pod rozgwieżdżonym niebem miał w sobie jakąś magiczną moc i marzyłem o tym, aby ta noc nigdy się nie skończyła...

Lecz nic nie trwa wiecznie. Także i ta kolonia musiała się kiedyś skończyć. Przez ostatnią noc nie mogąc spać leżałem w łóżku i rozmyślałem ciągle o Agnieszce. Wciąż pragnąłem opowiedzieć jej o wszystkim, co się dzieje w moim serduszkach, chciałem wyznać jej całą prawdę, lecz do głosu dochodził wtedy rozum, który mówił mi: „*Nie masz prawa do unieszczęśliwiania innych swoim kosztem*”. A serce wtórowało rozumowi: „*Nie sięgaj po najpiękniejszą gwiazdę na niebie, ponieważ przy Tobie ta gwiazda może stracić swój blask*”.

Nadszedł oto ostatni poranek, który mieliśmy spędzić razem na tej kolonii. Ponieważ Agnieszka spakowała mnie już wcześniej, więc miałem przed śniadaniem chwilę czasu, aby pożegnać się z piękną okolicą. Przyszedł mi również do głowy pewien pomysł. Postanowiłem za wspaniałą opiekę lekarską podziękować Monice... różyczkami z klombu (gdybyśmy tam byli jeszcze ze dwa tygodnie, to ten klomb byłby chyba bez kwiatów). Tomek znów je dla mnie zerwał i poszedł po Monikę. Przyszła po chwili lekko zarumieniona i... zaskoczyłem ją bardzo swoimi podziękowaniami. Odwzajemniła mi się jedną z tych cudownych maseczek ziołowych, które robiła mi razem z Agnieszką.

Po śniadaniu przyjechała po mnie mama (gdyż ojciec wyjechał do pracy). Poszła do mojego pokoju po bagaże, a ja miałem kilka minut aby pożegnać się z moim aniołem. Znów chciałem jej powiedzieć o moim uczuciu, ale wciąż słyszałem w głębi duszy ten przekłety głos „*Nie masz prawa...*”. Poprosiłem ją o jakiś osobisty drobiazg na pamiątkę, a ona zdjęła wtedy z włosów taką kolorową gumkę i wręczyła mi ze słowami „*Jakie to romantyczne*”. Gardło miałem ściśnięte ze wzruszenia, a łzy stanęły mi w oczach. Agnieszka napisała mi w kalendarzyku swój adres i obiecaliśmy, że będziemy do siebie pisać. Przyszła mama z bagażami, włożyła je do samochodu, jeszcze ostatnie spojrzenie na Ośrodek i moją ukochaną Agnieszkę i ruszyliśmy do domu. Mama coś mi opowiadała, ale ja nic nie słyszałem, myślałem wciąż tylko o Agnieszce. Po twarzy zaczęły mi płynąć łzy, pomyślałem sobie wtedy, że już ich nie muszę powstrzymywać bo i tak nikt nie widzi. Łzy płynęły mi z oczu aż do końca podróży do domu.

Po kilku dniach nadeszły zamówione przeze mnie zdjęcia z kolonii. Rozpakowałem je, zobaczyłem na nich Agnieszkę i serce przeszył mi skurcz. Wtedy sobie uzmysłowiłem, że pokochałem ją nade wszystko i nigdy nie wymażę jej z pamięci.

Minęły trzy tygodnie od mojego przyjazdu do domu, gdy otrzymałem list. Wysłany był ze Skoków, a jak się dowiadywałem w trakcie czytania – napisała go cała kadra tęskniąca za pewnym kolonistą:

„Cześć Tomek! Jesteśmy znowu w Skokach – na drugim turnusie... i nawet jesteśmy w tym samym składzie (oprócz Agnieszki i Gabrysi). Ze znajomych kolonistów jest powtórnie Tomek Czarnecki. Tym razem kolonia jest „malutka” – 24 dzieci. Rozkład wiekowy tego turnusu jest od 2.5 lat do 50-tego roku życia,

więc trudno jest nam zorganizować wspólne zajęcia tematyczne. Spędzamy zatem większość czasu na plażowaniu, kąpiel, pływaniu na kajakach, rehabilitacji. Pogoda nam na szczęście dopisuje. Szykujemy się jutro do pierwszej inauguracyjnej dyskoteki i przygotowujemy program na weekendowe ognisko. Na tym turnusie ze względu na brak funduszy nie będzie wycieczki do Biskupina. Gdy nadejdzie wieczór i wszystkie dzieci już śpią, kadra ma czas dla siebie i wtedy często wspominamy poprzednią kolonię... i co niektórych kolonistów... Muszę powiedzieć, że mi też brakuje tych wieczornych maseczek – teraz dla odmiany robię je Nawojce. Ponadto – nie ma tu równie dobrego tancerza co Ty! Kierownik przywiózł na tą kolonię zdjęcia z poprzedniej i muszę Ci powiedzieć, że masz wiele bardzo ładnych „fotek” – zwłaszcza z balu przebierańców. Nasze seanse filmowe należą już do tradycji. Niestety tym razem kierownik zabrał same horrory... brr... A propos: masz zdjęcie jak oglądasz z nami film w pokoju Marka. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w najlepszym porządku i że dobrze się czujesz. Myślmy o Tobie i pamiętamy wspólnie spędzone chwile. Ja zwłaszcza pamiętam taką jedną uroczą chwilę, gdy zrobiłeś mi niespodziankę w postaci 3 różyczek „skombinowanych po partyzancu” z klombu... .. Szkoda, że nie możesz być tu z nami raz jeszcze... ale może za rok... W każdym razie: Ściskam Cię serdecznie, dziękuję za list, ślę pozdrowienia i teraz przekazuję pióro innym dziewczynom... Monika Michalak”

Po przeczytaniu listu od Moniki chwyciła mnie nieopisana tęsknota za moją cudowną Agnieszką i w ogóle całą kolonią. Kolejne listy były zdawkowymi pozdrowieniami, dopiero list od Nawojki znów był taki dłuższy:

„Witaj Tomku!!! Serdeczne ucałowania z beztroskiej skockiej krainy! Nie ubolewaj, że Cię tutaj nie ma tym razem, gdyż zepsulbyś sobie słodki smak po pierwszym turnusie. Nie jest tak wesoło, gwarnie, pełno, a i pogoda troszeczkę gorsza i... oraz... .. i jeszcze woda w jeziorze nie taka klarowna i ciepła. Jest tym razem wiele defektów innej natury niż poprzednio, np.: nie ma Agnieszki, Gabrysi, Sabiny, Elki, maseczek, dobrych podwieczorków i ciastek sezamkowych. Już chyba nie żałujesz? Myślę, że zobaczymy się w przyszłym roku, może w innym miejscu, może w Skokach. Jeszcze mi się przypomniało, że wzmacniacz się zepsuł i z dyskotek też nici. Oczywiście wszystkie Cię wspominamy z pewnością czulej niż Ty nas (choćby dlatego, że nas jest więcej). A często Cię tu wspominamy. Oglądamy zdjęcia, które dotrą do Ciebie niestety dopiero we wrześniu. Ale może to lepiej, bo rozwiane już wspomnienia powrócą na nowo i przeżyjesz wszystko od początku. Ślę Tobie serdeczne pozdrowienia, życzę wielu wspaniałych chwil, ciekawych książek, pięknej muzyki i życzliwych ludzi. Jeszcze raz całuję. Nawojka”

Jakże odmienny od listu Moniki, ale też pełen tęsknoty za mną. A na samym końcu krótki liścik od kierownika kolonii:

„Cześć Tomek!!! Przesyłam Tobie pozdrowienia i mam nadzieję, że się spotkamy za rok. Kobitki psują mi hemoglobinę dzień w dzień. Może się to zmieni wraz z ciśnieniem. Dają sobie radę, ale nie wiem czy dotrwam do końca turnusu (istny mapet show). Jeszcze raz przesyłam pozdrowienia i uściski. Marek Zawał”

Po przeczytaniu wszystkich listów i pozdrowień rozplakałem się jednocześnie i ze śmiechu i z tęsknoty. To były najcudowniejsze dwa tygodnie mojego życia i nigdy nie zapomnę jak tam było wspaniale.

Rozdział szósty

Nadszedł wrzesień. Chciałem zaprosić Agnieszkę na swoje urodziny, ale okazało się, że nie może do mnie przyjechać, gdyż wyjeżdża do Finlandii do pracy, a potem na wycieczkę do Włoch. Również Monika nie mogła przyjechać na moje urodziny, więc spędziłem je samotnie.

Minął tydzień, gdy przyszła do mnie kartka z Finlandii od Agnieszki. Pisała, że bardzo tam fajnie, tylko pogoda trochę nie za bardzo. Po kolejnych kilku tygodniach otrzymałem następną kartkę, tym razem z Włoch. Dowiedziałem się z niej, że Agnieszka zwiedziła Rzym i Wenecję i że doskonale się bawi.

Te kartki były dla mnie jak jaskółki zwiastujące wiosnę i chwilowo ukoili moją tęsknotę za nią. Dzięki nim wiedziałem, że nie zapomniała o mnie, dawały mi również złudne wrażenie jej obecności.

Po powrocie do Polski moja ukochana zaczęła studiować w Poznaniu na Akademii Ekonomicznej. Z początku bardzo się z tego ucieszyłem, gdyż Poznań był tylko 30 km od Żabna i myślałem, że będąc tak blisko Agnieszka wreszcie mnie odwiedzi. Tymczasem wydarzyło się coś, co diametralnie zmieniło moje życie.

Wielokrotnie rozmyślałem o Agnieszce i o mej miłości do niej, aż wreszcie nie mogąc znieść myśli o straconym szczęściu postanowiłem napisać do niej list, w którym opowiedziałem jej o najpiękniejszym uczuciu jakie istota ludzka może przeżyć – o tym, że kocham ją ponad wszystko.

Wysłałem do niej ten list i... nastąpiła cisza. Minął tydzień, potem drugi, miesiąc, a Agnieszka nie dawała znaku życia. Załamałem się wtedy kompletnie. Oto przez jeden list straciłem ukochaną mego życia. Wpadłem w koszmarną depresję, a przez głowę coraz częściej przechodziła mi myśl, że nie mam już dla kogo żyć i powinienem skończyć ze sobą.

Kto wie, gdyby nie moja korespondencyjna przyjaciółka Aneta, prawdopodobnie zrealizowałbym swój samobójczy zamiar. Lecz Aneta przekonała mnie, że życie jest zbyt cenną rzeczą, aby tracić je w tak głupi sposób i że wszystko jest jeszcze przede mną...

Na początku listopada wrócił ojciec z Niemiec przywożąc mi mój wymarzony komputer. Z początku nie za bardzo wiedziałem jak się nim posługiwać (gdyż w Konstancinie miałem zaledwie podstawy informatyki), na dodatek system operacyjny DOS w komputerze był w języku niemieckim. Wkrótce jednak kupiłem na giełdzie angielską wersję DOS-a, do tego polskie Windows 3.11 i zacząłem intensywną edukację. Przy pomocy specjalistycznej prasy komputerowej oraz programów telewizyjnych poświęconych informatyce moja wiedza dotycząca komputerów stale się powiększała, aż mogłem się uznać za małego eksperta komputerowego.

I nareszcie mogłem podjąć współpracę z panem Franciszkiem z Fundacji Pomocy Dzieciom Niepełnosprawnym. Pan Franciszek przywoził mi do domu różne książki i rękopisy, które ja przepisywałem na komputerze, zapisywałem na dyskietkach, a następnie czekałem na kolejne książki. Dzięki temu zajęciu nie miałem za bardzo czasu rozpamiętywać mojej miłości i powoli moja boląca psychika zaczęła powracać do normy.

W połowie maja 1996 roku pojawiła się w Żabnie nowa osoba. Była to Kasia – kuzynka jednej z moich sąsiadek. Podjęła pracę w restauracji jako kelnerka, pracowała również w sklepie. Dowiedziałem się o niej dopiero po kilku dniach i postanowiłem obejrzeć sobie to „cudo”.

Poszedłem sobie na spacer, a wracając zahaczyłem o sklep, aby się napić coli. Podjechałem do znajomych siedzących na ławkach i zaczęliśmy rozmawiać. Kasi nigdzie nie było widać.

Nagle z restauracji wyszła pewna dziewczyna. Była taka śliczna, że... nie mogłem od niej oderwać wzroku. Brunetka o długich, lekko kręconych włosach spadających jej na ramiona, szczupła i niewiarygodnie zgrabna – oto w moim życiu pojawił się kolejny anioł. Kasia wyczuła, że na nią patrzę i uśmiechnęła się do mnie. Poczulem się wtedy tak, jakby moją twarz ogrzewał delikatny promyk słońca. Przychodziłem odtąd do Kasi codziennie i bardzo szybko się zaprzyjaźniliśmy. Przesiadywałem popołudniami w restauracji lub pod sklepem, a gdy Kasia kończyła pracę, to wybieraliśmy się na wspólne spacer. Traktowałem ją jak mojego psychologa, zwierzałem się jej z moich problemów (także tych dotyczących miłości), opowiadaliśmy sobie o swoim życiu, słuchaliśmy muzyki, dowcipkowaliśmy – jednym słowem bawiliśmy się znakomicie w swoim towarzystwie.

Aż przyszedł taki dzień, gdy... zakochałem się w Kasi. To wyszło tak jakoś „samo z siebie”. Po stracie Agnieszki byłem jeszcze załamany i nieufny w stosunku do płci pięknej, ale Kasia potrafiła swoim

urokiem przełamać moją nieufność, a przy jej pozytywnym nastawieniu do życia moje depresje zniknęły bez śladu. Wkładała w naszą przyjaźń serce i duszę, ja również odpowiadałem jej tym samym (choć w moim przypadku przeważało „serce”).

Będąc jednak świadomy tego, że nie przeżyłbym straty kolejnej ukochanej, nigdy nie opowiedziałem Kasi o moim uczuciu. Nie chciałem, aby to wyznanie popsło stosunki między nami, wolałem zdusić tę miłość w sobie.

Po kilku tygodniach tej sielanki Kasia miała się wyprowadzić z Żabna. Na pożegnanie kupiłem jej srebrny łańcuszek z serduszkami. Chciałem, aby to serduszko w jakiś sposób przypominało jej faceta, który pewnego dnia wkroczył (a raczej wjechał na wózku) w jej życie. Przy pożegnaniu nie mogliśmy powstrzymać łez, które same cisnęły nam się do oczu, w końcu jednak znów moje życie wypełniło się pustką.

Kasia wyjechała, a ja straciłem jedną z najwspanialszych przyjaciółek. Na szczęście do dzisiaj utrzymujemy ze sobą kontakt telefoniczny i listowny, a ja choć przez chwilę mogę znów poczuć się tak szczęśliwy jak w tym pamiętnym maju.

Latem znów wyjechałem na kolonie pod patronatem FPDN. Tym razem los zaniósł mnie do Łobżenicy – miejscowości leżącej w połowie drogi między Piłą a Bydgoszczą, nieopodal Klasztornej Górki. Miałem chyba jakieś względy w niebie, gdyż pogoda znów była wspaniała. Choć jednak słońce grzało niesamowicie, to woda w jeziorze była już zbyt zimna, aby się w niej kąpać.

Do mojego nowego domu jechałem samochodem z panem Franciszkiem. Jechało nam się bardzo fajnie – opowiadaliśmy sobie kawały, słuchaliśmy z kaset „T-Raperów znad Wisły” i ani żeśmy się obejrzieli, jak zajechaliśmy na miejsce.

Tym razem jako opiekuna dostałem pewnego studenta imieniem Michał. Mieszkaliśmy w czteroosobowych domkach kempingowych, a Ośrodek tym razem był trochę bardziej dostosowany do wózków inwalidzkich. Wszędzie były betonowe chodniki i podjazdy, jedynym minusem był nienajlepszy stan tych chodników i po każdym przejeździe po nich miałem wrażenie, że poobrywałem sobie przynajmniej połowę narządów wewnętrznych.

Kolonia nie była zbyt duża, trzydziestoma kilkoma dzieciakami opiekowały się cztery dziewczyny. Ku mojej radości wśród kolonistów znalazło się kilku znajomych ze Skoków, w tym także mój współlokator i „młodszy braciszek” Tomek. Ja z Michałem byliśmy jednymi z najstarszych uczestników na tej kolonii (nie licząc kadry i personelu Ośrodka), więc byliśmy tam niejako „nieoficjalnie”. Nie mieliśmy obowiązku uczestniczyć w życiu kolonijnym, mogliśmy robić co chcieliśmy. Jedynym obowiązkiem było meldowanie o każdym naszym opuszczeniu Ośrodka.

Choć Michał opiekował się mną jak tylko umiał, to jednak nie potrafiłem zapomnieć o tym, co przeżyłem rok wcześniej pod skrzydłami Agnieszki. Wiedziałem doskonale o tym, że Agnieszka była jedyna w swoim rodzaju i nikt nie jest w stanie jej dorównać.

Ale także z Michałem czułem się dobrze. W końcu mężczyźni potrafią się ze sobą dogadać. Codziennie chodziliśmy do pobliskiego miasteczka na spacer, robiliśmy masę kilometrów po okolicy, podrywaliśmy wspólnie dziewczyny – to były prawdziwe „męskie” wakacje i uznałem, że też będę je mile wspominał. Choć jedna rzecz przypominała mi o poprzedniej kolonii: moja „nieoficjalna” wychowawczyni miała na imię... Agnieszka.

W drodze powrotnej miałem również jechać razem z panem Franciszkiem. Ponieważ jednak chciałem zrobić rodzicom niespodziankę, więc pojechałem z innymi w autokarze. Choć nie siedziało mi się tak wygodnie jak w samochodzie, to chciałem do samego końca jechać z wszystkimi. Michał siedział przy mnie z jednej strony, z drugiej siedziała Agnieszka i pilnowali abym nie zleciał z siedzenia na ostrych zakrętach.

Do Poznania dojechaliśmy w miarę szybko. Rodzice już na mnie czekali, przenieśli mnie do naszego samochodu, zabrali bagaże i wózek i już mieliśmy odjeżdżać, gdy jeszcze w ostatniej chwili przyszły się ze mną pożegnać Sylwia i Ania – dwie z opiekunek kolonijnych.

Po wakacjach wróciłem wypoczęty do domu i swojej pracy na komputerze. Często nie mając z kim iść na spacer pisałem całymi dniami, klawiaturę znałem już na pamięć i chociaż nigdy nie mogłem nauczyć się metody bezwzrokowego pisania, to każdą książkę kończyłem coraz szybciej.

Na udoskonalaniu swojej wiedzy komputerowej oraz przepisywaniu książek czas mi jakoś leciał, gdy nagle zły los dał znać o sobie i gwałtownie zachwiał moją psychiką.

Była noc z 30 listopada na 1 grudnia 1996 roku. Siedziałem sam w domu, babcia mieszkająca z nami była u sąsiadki, a rodzice wyjechali do kuzyna. Przyjechali około godz. 23, ojciec poszedł do kuchni, a mama przyszła położyć mnie spać. Leżałem już w łóżku, gdy usłyszałem odjeżdżający samochód. Po chwili mama przyszła do mnie i zapytała:

- Nie widziałeś może ojca? Jego kurtki nie ma, zniknęły też kluczyki od samochodu.
- Przed chwilą słyszałem jak jakiś samochód odjeżdżał, może to był on – odpowiedziałem.

Mama wybiegła przed dom, ale było już za późno – samochodu rzeczywiście nie było przed domem. Poszła do siebie, a ja oglądałem telewizję i wkrótce usnąłem.

Była mniej więcej godzina pierwsza w nocy, gdy usłyszałem pukanie do drzwi wejściowych. Pomyślałem sobie, że pewnie ktoś „pod gazem” pomylił domy. Po chwili usłyszałem pukanie do mojego okna. Na pytanie: „*Kto tam?!?*” nikt nie odpowiedział. „*Jeśli jesteś taki nieuprzejmy, to pukaj sobie do rana*” – przeleciało mi przez głowę, obróciłem się do ściany i próbowałem usnąć na nowo. Ale ten ktoś był uparty i pukał dalej do drzwi.

W końcu po jakichś pięciu minutach zadzwoniłem do mamy (mam przy łóżku specjalny dzwonek elektryczny zamontowany u mamy w pokoju i w razie czego mogę ją wezwać). Zeszła powoli na dół i otworzyła frontowe drzwi. Weszli do góry, siedzieli tam dość długo, potem usłyszałem, że schodzą na dół. Mama odprowadziła „ktosia”, zamknęła za nim drzwi i powoli przyszła do mnie. Otworzyła drzwi od mojego pokoju i blada jak ściana opadła resztką sił na krzesło.

- Co się stało? Kto to był? – zapytałem niecierpliwie.

Mama próbowała coś odpowiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Po chwili rzekła:

- To była policja. Twój ojciec godzinę temu miał wypadek samochodowy i nie żyje.

Przez plecy przeszedł mi okropny dreszcz i zacząłem z nerwów trząść się jak osika. Po chwili uświadomiłem sobie usłyszaną wiadomość – ojciec zginął w wypadku.

- Jak to się stało? – zapytałem słabym głosem.
- Podobno jechał ze zbyt dużą prędkością, w lesie wyszło mu jakieś zwierzę przed samochód, bo są ślady gwałtownego hamowania, wpadł w poślizg i uderzył w drzewo. Kierownica wbiła mu się w pierś i zmarł po kilku minutach.
- Co my teraz zrobimy? – spojrzałem na mamę przez łzy.
- Musimy być silni – odpowiedziała – i nie załamywać się. Życie toczy się dalej i nadal będziemy rodziną.

Poszła do siebie, a ja leżałem oswajając się z myślą, że straciłem jednego z rodziców. Nagle nerwy puściły mi całkowicie i rozplakałem się. Płacz przeszedł później w szloch, aż wreszcie trochę się uspokoilem. Lecz do samego rana nie mogłem już spać.

Mama pojechała zawiadomić mojego brata o śmierci ojca, natomiast do mnie przyszły koleżanki. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy jak zwykle, choć czułem się jakby nieobecny duchem. Brat przywiózł mamę z powrotem, był równie mocno załamany jak my. Następnie mama pojechała załatwiać sprawy formalne związane z pogrzebem. Ja zostałem sam w domu i nie mogłem się jeszcze pozbierać psychicznie.

Przyjechał wujek zabrać babcię na święta do Konina. Rozmawiałem z nim normalnie, dopiero gdy zaczął zbierać się do wyjazdu zmusiłem się wręcz, aby powiedzieć mu o śmierci jego brata. On później zawiadomił resztę rodziny, jedynie babcia nic nie wiedziała o śmierci syna, gdyż jej serce mogłoby tego nie przetrzymać. Mieli ją na tę wiadomość powoli przygotowywać.

Pogrzeb odbył się sześć dni później. Przybyła na niego cała nasza rodzina, zarówno ze strony ojca, jak i ze strony mamy. Również liczne grono mieszkańców Żabna towarzyszyło mu w ostatniej drodze. Od samego rana czułem się jakbym żołądek miał zawiązany na supeł, a nerwy miałem napięte jak postronki. Weszliśmy do kościoła gdzie odbyła się msza pogrzebowa.

Na stypie usiadłem przy rodzinie mojej mamy, czułem że właśnie do nich należę. Było mnóstwo ludzi, którzy użalali się nade mną, tak jakbym bez ojca nie poradził sobie w dalszym życiu, składali nam kondolencje i w ogóle zachowywali się jakbyśmy byli niedorajdami niezdatnymi do samodzielnej egzystencji. Na szczęście pod wieczór wszyscy sobie pojechali i zostaliśmy z mamą sami. Nareszcie mogłem odpocząć po tym ciężkim dniu.

Kilka dni później na przekór memu przekłętemu losowi dostałem radosną niespodziankę. Była to kartka z życzeniami świątecznymi od... Agnieszki. Była ona dla mnie jak promień słońca na pochmurnym niebie i choć przez chwilę rozświetliła moje smutne życie. Na krawędzi załamania nerwowego napisałem do niej list, w którym prosiłem aby nie zostawiała mnie samego w tych trudnych chwilach. Odpowiedzi na mój list również i tym razem nie otrzymałem.

Powoli zacząłem się otrząsać z szoku wywołanego śmiercią ojca. Wróciłem do przepisywania książek przywożonych mi przez pana Franciszka i moja psychika zaczęła powracać do równowagi. Ponieważ jednak Fundacja przestała organizować wyjazdy na wczasy, więc podjąłem współpracę ze... Sportowym Stowarzyszeniem Inwalidów „Start” i przez następne dwa lata (1997-1998) właśnie z nimi wyjeżdżałem na wczasy.

Rozdział siódmy

Pierwsze spotkanie po latach z pracownikami „Startu” było dla mnie miłą niespodzianką, a jednocześnie zaskoczeniem. Pan Edward nie pracował już na swoim stanowisku, prezesem był teraz pan Romuald, z którego córką byłem na kolonii we Wągrowcu w jednej grupie.

Wczasy miały być nad morzem w Mielnie. Cieszyłem się bardzo z wyjazdu w październiku, gdyż letnie upały były dla mnie bardzo męczące. Tym razem jechałem już autokarem razem z innymi wczasowiczami.

Chociaż podróż była dość męcząca dla mnie (sześć godzin jazdy), to jechało się bardzo przyjemnie. Kierownik turnusu, pan Irek, oraz jego prawa ręka i rehabilitantka w jednej osobie, pani Ina, stworzyli nam miłą atmosferę i chociaż od samego rana rozpadał się deszcz, to generalnie wszyscy byliśmy w dobrym humorze i nikt nie siedział ze skwaszoną miną.

Jechałem bardzo zaciekawiony jak to będzie nad tym morzem (gdyż jeszcze nigdy nad nim nie byłem), ale nie przypuszczałem, że czeka mnie tam niespodzianka.

Wreszcie zajechaliśmy na miejsce. Również w Mielnie padał deszcz, wiał na dodatek silny wiatr, ale po południu niebo zaczęło się powoli przejaśniać, jakby nie chciało nam zepsuć pobytu.

Ośrodek był wspaniały. Był to właściwie hotel mieszczący się w trzech budynkach (w tym dwa kilkupiętrowe), przy którym była ogromna stołówka i mała sala taneczna z barem. Położony był nad samym morzem, tak więc do snu usypiał mnie szum fal. Znakomicie dostosowany do wózków inwalidzkich, pokoje wyposażone dość dobrze (telewizor, radio, czajnik itp.), łóżka wygodne – czułem, że ten pobyt będzie niezwykły.

I rzeczywiście był. Podczas obiadu dowiedziałem się od pana Irka, że... nie mają dla mnie opiekuna.

- Szkoda, że nikt mnie o tym wcześniej nie poinformował – powiedziałem – to mama załatwiłaby dla mnie opiekuna.
- I co teraz zrobimy? – zapytał pan Irek – Ani ja, ani pani Ina nie mamy czasu się Tobą opiekować cały czas, gdyż mamy mnóstwo pracy. Może mama mogłaby przyjechać do Ciebie? Oczywiście nie płaciłaby za pobyt, gdyż byłaby tu jako Twój opiekun.
- Z tego co wiem, to mama raczej nie będzie mogła przyjechać. Przez te dwa tygodnie mojej nieobecności ona chce wyremontować mój pokój i nie może tego zostawić i przyjechać tutaj. Chociaż... może Ewa przyjechałaby do mnie? To jest moja przyjaciółka, która codziennie do mnie przychodzi i myślę, że dałaby sobie ze mną radę.

Jeszcze dyskutowaliśmy o Ewie, ale chyba dali się przekonać o jej odpowiedzialności. W końcu jeśli ja mogłem zaufać dziesięcioletniej dziewczynie, to dlaczego oni mieli jej nie ufać? To przecież mną miała się zaopiekować, a nie nimi.

Po obiedzie zostaliśmy zakwaterowani w pokojach, a później pan Irek poszedł zadzwonić do mojej mamy. Poinformował ją o całej sytuacji, o mojej prośbie, aby Ewa do mnie przyjechała, i tak ją „oczarował”, że mama się zgodziła na opiekę Ewy. Miała przyjechać do Mielna możliwie jak najszybciej. Następnego dnia po południu ubrali mnie bardzo ciepło, owinęli kocem i pan Irek zabrał mnie nad morze. Podjeżdżaliśmy powoli taką mini-promenadą, aż wreszcie znalazłem się nad samym morzem.

Widok był dla mnie niezwykły. Ogromne, bezkresne połączenie szarej wody, nad którą rozpościerało się oślepiająco jasne niebo. Wiał silny, ostry i przejmująco zimny wiatr, powietrze zaś było wilgotne, pełne ozonu i bardzo orzeźwiający.

Z wrażenia zaparło mi dech w piersi i nie wiedziałem co mam powiedzieć. Ten widok był taki urzekający, że nie mogłem oderwać od niego wzroku. Dopiero po kilkunastu minutach, gdy już przemarzłem od tego wiatru, wróciłem do rzeczywistości i poszliśmy z powrotem do pokoju.

Do końca dnia nudziłem się okropnie. W telewizji nic ciekawego nie było, nikt mnie nie odwiedził (jedynie czasem pan Irek lub pani Ina wpadli zobaczyć czy czegoś nie potrzebuję) – na szczęście zabrałem ze sobą kilka książek i trochę sobie czytałem. Spać poszedłem wyjątkowo wcześnie.

Minęła noc. Wczesnym rankiem (około godz. 7) ktoś zapukał do mojego pokoju. Zaspanym głosem powiedziałem „Proszę”, otworzyły się drzwi i... ujrzałem w nich Ewę. Nareszcie! Jak zwykle wpadła w znakomitym nastroju (mimo zmęczenia całonocną jazdą pociągiem) i gdy usłyszałem jej radosną paplaninę, to do reszty już się obudziłem. Ewa zaczęła się rozpakowywać, również moje rzeczy rozpakowała do reszty i poleciała nad morze. Z powodu wiatru szybko wróciła do pokoju.

Około godz. 9 pan Irek przyszedł pomóc mi się ubrać. Przedstawiłem go Ewie, razem pomogli mi się ubrać i usiąść na wózek i pojechaliliśmy na śniadanie. Stołówka była pełna, gdyż oprócz nas przebywały w Ośrodku matki z dziećmi mającymi porażenie mózgowie (ponieważ stosowana tu była terapia leczenia tej choroby u dzieci przy pomocy specjalnych skafandrów kosmicznych). Przy śniadaniu Ewa została poinformowana co należy do jej obowiązków, a po posiłku dostaliśmy karty pobytu, z którymi mieliśmy udać się do lekarza, aby po badaniach ocenił jakie możemy wykonywać ćwiczenia. Do obiadu czekaliśmy na te badania lekarskie.

Natomiast po obiedzie wyruszyliśmy z Ewą na zwiedzanie Mielna. Okazało się ono niezbyt wielką miejsciną nastawioną głównie na zarabianie w sezonie turystycznym. W październiku tylko jeszcze nieliczne sklepy były otwarte. Sporo za to było otwartych różnych budek z frytkami i smażonymi rybami. Było także kilka stoisk z pamiątkami.

Ponieważ morskie powietrze bardzo zaostrzyło nam apetyty, więc mimo zjedzonego obiadu byliśmy nieco głodni. Akurat niedaleko naszego Ośrodka było małe stoisko z frytkami i rybami, poszliśmy więc przekąsić małe „co nieco”. Frytki były znakomite, smakowały nam zupełnie inaczej niż u nas w domu. Może sprawiło to morskie powietrze, może inna sól, ale naprawdę były wyśmienite. Odtąd prawie codziennie byliśmy gośćmi w tym stoisku.

Z Ewą właściwie nigdy się nie nudziłem. Była moją ulubioną przyjaciółką mieszkającą kilkaset metrów od mojego domu, przychodziła do mnie codziennie. Spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu, słuchaliśmy muzyki, rozmawialiśmy, chodziliśmy na wspólne spacery, ja uczyłem Ewę obsługi komputera, a teraz miałem ją dla siebie 24 godziny na dobę. Po raz pierwszy od rozstania z Agnieszką poczułem się naprawdę szczęśliwy.

Ewa miała zawsze mnóstwo energii i dobrego humoru, była uśmiechnięta i wesoła, i jej radość powoli zaczęła się mnie udzielać. Zapomniałem o swoich zmartwieniach, o pustce w moim życiu, a moje oczy znów zaczęły nabierać blasku. Czy to podczas wspólnych spacerów nad morzem, czy podczas posiłków, wypadów na miasto czy też wczasowych dyskotek – zawsze byliśmy uśmiechnięci i weseli, radość wprost z nas promieniowała.

Żarty tak nas się wciąż trzymały, że zaczęliśmy się nawet przedstawiać jako małżeństwo (gdyż nosiliśmy „obrączki przyjaźni”). I tak pasowaliśmy do siebie, że wszyscy nam wierzyli.

Cały ten turnus był niezwykle. Gdy na pierwszym spotkaniu naszej grupy spostrzegłem, że właściwie to jestem najmłodszy ze wszystkich osób, przyszła mi do głowy myśl, że trafiłem na jakiś turnus emerytów i przez te dwa tygodnie umrę z nudów (Ewa wtedy jeszcze nie dojechała do mnie).

Jednak czas pokazał, jak bardzo się myliłem. Chociaż wszyscy byli już w wieku „średnim”, to zachowywali się jak młodzież. Nie było żadnego postękiwania, narzekań i jęków, każdy był zadowolony i uśmiechnięty, a na dyskotekach szaleli na parkiecie jak dwudziestolatkowie. Chociaż jako najmłodszy z nich powinienem mieć najwięcej energii, to po przetańczeniu trzech kawałków z dwoma „panienkami” (jednocześnie!) nie miałem już kompletnie sił.

Również Ewa czasami nie mogła sprostać swoim tancerzom i prosiła wtedy mnie do tańca (nauczyła się ze mną tańczyć), aby trochę odetchnąć.

Pewnego dnia miała być wycieczka do Kołobrzegu. Ponieważ nie miałem ochoty męczyć się w autokarze, Ewa również nie chciała jechać, więc poszliśmy sobie na spacer po Mielnie. Ku naszemu zaskoczeniu sto metrów od brzegu morza znajdowało się jezioro. Usiedliśmy sobie nad tym jeziorem na ławce, przed nami rozpościerał się las masztów przeróżnych żaglówek i łodzi, nad wodą latały wszędobylskie mewy, słońce zaczęło mocniej przygrzewać, a my przytuleni do siebie słuchaliśmy szumu fal i opalaliśmy buzie. Czas płynął nam tak szybko, że ani się spostrzegliśmy, a już trzeba było wracać do Ośrodka na obiad. Z żalem wracaliśmy, lecz gdy zobaczyliśmy „wygotowanych” w autokarze wczasowiczów, uśmiechnęliśmy się do siebie znacząco – oto jakiego losu udało nam się uniknąć, a w zamian za to spędziliśmy cudowne chwile nad jeziorem.

Nadszedł jednak czas powrotu do domu. Z lekkim smutkiem wyjeżdżaliśmy z Mielna – było tu tak wspaniale, że nie miałem wcale ochoty wracać. Zaprzyjaźniłem się ze wszystkimi wczasowiczami, przyzwyczałem się do morskiego klimatu, pokochałem Bałtyk, a teraz miałem to wszystko opuścić. Ale przyrzekłem sobie, że postaram się tu jak najczęściej wracać.

Po powrocie czekała na mnie niespodzianka – mój pokój został gruntownie wyremontowany i odnowiony. Przez te dwa tygodnie mojej nieobecności mama samodzielnie założyła kasetony i położyła

tapetę i teraz pokój wyglądał prześlicznie. Z wielką energią nabytą na wczasach powróciłem do przepisywania książek...

W połowie listopada przeżyłem kolejne nieszczęście. W wyniku zapalenia płuc zmarła moja babcia, która mieszkała razem z nami. Również i jej śmierć bardzo przeżyłem.

Odkąd sięgam pamięcią – babcia zawsze była z nami. Gdy byłem mały, opiekowała się mną pod nieobecność rodziców, broniła mnie, gdy miałem dostać lanie. Gdy już poruszałem się na wózku, to babcia wciąż przychodziła dotrzymywać mi towarzystwa i dzięki niej nie czułem się taki samotny w domu. A teraz odeszła od nas i zostałem z mamą sam.

Lecz ta samotność nie trwała długo. Z pobliskiej Mosiny do mieszkania po babci przeprowadził się mój brat z żoną i dziećmi. Ponieważ po śmierci ojca cały ciężar prowadzenia hodowli pieczarek (które ojciec uprawiał) spoczął na mamie, więc mama nie mogąc jednocześnie opiekować się mną i uprawiać grzybów, hodowlę pieczarek oddała mojemu bratu.

Z początku cieszyłem się bardzo z przeprowadzki brata, ale jeszcze niejednokrotnie miałem zatęsknić za ciszą i spokojem, jakie panowały, gdy mieszkaliśmy tylko z babcią...

W marcu 1998 roku znów „uciekłem” z domu. Tym razem wyjechałem do Śremu do mieszczącej się tam Kliniki Reumatologicznej. Przez dwa tygodnie miałem tam przebywać w charakterze kuracjusza.

Na miejsce zostałem zawieziony karetką. Moi sąsiedzi byli zaskoczeni, że zabiera mnie pogotowie, dopiero mama im wyjaśniła, że wyjeżdżam tylko na „wczasy”. Podróż minęła dość szybko (w końcu to było tylko 17 km). Zajechaliśmy pod mój nowy dom, a na powitanie ujrzałem czekające na mnie dwie śliczne pielęgniarki – siostrę Anię i siostrę Jolę.

Wioząc mnie do pokoju rozpytywały o moje zainteresowania, o pracę, o moje codzienne życie... Gdy już dojechaliśmy na miejsce, okazało się, że mój pokój jest całkiem obszerny, gdyż mogło w nim przebywać siedem osób. Chwilowo był zupełnie pusty, ale siostry wyjaśniły mi, że moi współlokatorzy są obecnie na rehabilitacji.

Mama przyniosła moje rzeczy, rozpakowała je do szafy i umówiwszy się ze mną za kilka dni pojechała do domu. Zostałem sam w pokoju, lecz nie na długo. Powoli zaczęli się schodzić moi „towarzysze niedoli”. Nie było tam nikogo w moim wieku, wszyscy byli dużo starsi ode mnie. Z początku patrzyli na mnie trochę dziwnym wzrokiem, ale później się zapoznaliśmy ze sobą, a z niektórymi nawet zaprzyjaźniłem. Na przykład taki pan Bogdan...

Był on niezwykłym człowiekiem. Miał problemy z kręgosłupem oraz przepuklinę, jednak patrząc na niego odnosiło się wrażenie, że jest zdrowy. Nigdy się nie skarżył, zawsze chodził uśmiechnięty i chętny innym do pomocy. Wielokrotnie gdy miałem ochotę na herbatę, on jakby czytając w moich myślach już ją szykował. Wyręczając pielęgniarki zawoził mnie na rehabilitację lub telewizję, robił zakupy w pobliskim sklepiku – po prostu złoty człowiek. I mimo swojej choroby wciąż w doskonałym humorze. Ponieważ rehabilitację miałem od godz. 10.30, więc rano miałem wolny. Spędzałem go przeważnie na oglądaniu telewizji. Siedziałem sobie właśnie i oglądałem „Wiadomości”, gdy ktoś zaszedł mnie od tyłu i zasłonił mi rękoma oczy.

- Zgadnij kto to? – usłyszałem cichy szept do ucha.

Zacząłem się zastanawiać i wymieniać imiona, ale żadne nie było tym właściwym. Dłonie były takie drobne i delikatne, ta tajemnicza istota pachniała tak słodko, lecz nie mogąc zgadnąć jej imienia wreszcie się poddałem. Dłonie odsłoniły mi oczy, „ona” przeszła do przodu i ujrzałem... Kasię. Poczulem się jakby słońce świeciło tego dnia wyłącznie dla mnie.

Okazało się, że Kasia dzwoniła do mnie, dowiedziała się od mojej mamy, że jestem w Śremie i postanowiła zrobić mi niespodziankę. Usiadła przy mnie na fotelu, opowiadała co u niej słychać, a ja nie mogłem od niej oderwać wzroku (tak ślicznie wyglądała). Czas nam mijał w okamgnieniu i wkrótce Kasia musiała już iść na autobus, a ja na rehabilitację. Zawiozła mnie na „salę tortur”, pożegnała się i poszła.

Po dwóch tygodniach spędzonych w Klinice trzeba było wracać do domu. Chętnie bym tam jeszcze spędził trochę czasu, ale zbliżała się Wielkanoc i Klinika była na okres świąt zamknięta. Żegnając się z pielęgniarkami nie kryłem swego wzruszenia, również one żegnały mnie bardzo ciepło.

Ten pobyt w Śremie bardzo odbudował moje nadwątlone siły psychofizyczne i mogłem z nowym zapałem wrócić do pracy nad przepisywaniem kolejnej książki.

W maju dowiedziałem się, że Ewa wyprowadza się z Żabna do Poznania, ponieważ znalazła tam pracę. Wiadomość tę przyjąłem ze smutkiem, gdyż wiedziałem doskonale, że w moim domu nigdy już nie będzie tak wesoło, jak to było za sprawą Ewy. Już nigdy nie miało być tak gwarno i radośnie, miały skończyć się przeróżne desery i ciasta, którymi karmiła nas moja mama, miałem stracić powiernika wszystkich moich tajemnic.

Razem ze swoimi rzeczami Ewa zabierała do Poznania część naszego wspólnego życia i zdałem sobie sprawę, że te wspaniałe czasy już nigdy nie powrócą...

Latem z powodu upałów oraz intensywnej pracy więcej czasu spędzałem w domu niż na dworze. Nigdy nie lubiłem zbyt wysokich temperatur, gdyż bardzo mnie męczyły. Na spacerzy wychodziłem z rzadka i to tylko wieczorami.

Dopiero we wrześniu dokonana się kolejna zmiana w moim życiu – „Start” zaproponował mi kolejny wyjazd na wczasy, ku mojej radości pobyt miał znów być nad morzem (w Międzywodziu). Tym razem jako moja opiekunka jechała ze mną mama.

Gdy w Poznaniu dotarłem na miejsce zbiórki, okazało się, że większa część turnusu to byli moi znajomi z ubiegłorocznych wczasów w Mielnie. Przyjemnie było zobaczyć po roku te same twarze, usłyszeć co się zmieniło przez ten czas oraz mieć świadomość, że przez dwa tygodnie znowu wszyscy będą się znakomicie bawić. Również kierownictwo się nie zmieniło – nadal dowodził wszystkim pan Irek, a jego prawą ręką była pani Ina.

Pogoda znów była „łzawa”, jakby Poznań oplakiwał nasz wyjazd, ale w połowie drogi deszcz powoli przestał padać, a zza chmur nieśmiało wyjrzało słońce. Chociaż podróż jak zwykle była dla mnie trochę męcząca, to cieszyłem się na myśl, że znów ujrzę mój ukochany Bałtyk.

Po sześciu godzinach jazdy dojechaliśmy na miejsce. Międzywodzie okazało się małą, uroczą miejsciną, położoną nad samym morzem. Ośrodek okazał się znakomicie urządzone, pokoje wręcz luksusowe (m.in. kolorowy telewizor i 14 kanałów telewizji kablowej), jedzenie na stołówce było wyśmienite, opieka lekarska doskonała, morze pod samym nosem – czego tu można więcej wymagać od życia?

Poznałem na turnusie kolegę – Jarka, z którym często chodziłem na spacerzy po Międzywodziu. Zachciało nam się kiedyś spaceru nad samym morzem. Ponieważ właśnie trwał odpływ, piasek był bardzo wygładzony przez fale, więc wędrowaliśmy sobie samym brzegiem plaży. Przed nami rozciągał się długi pas gładkiego brzegu, który chcieliśmy pokonać z rozpędu. Byliśmy w połowie drogi, gdy... nagle piasek zrobił się bardzo grząski i wózek zaczął się w nim zapadać. Z początku ugrzązł dość słabo, ale z każdą chwilą pograżał się coraz głębiej. Jarek próbował mnie wyciągać, ale jego heroiczne wysiłki sprawiały tylko tyle, że zapadałem się coraz bardziej.

Na szczęście podnóżki przy wózku oparły się na piasku i przestałem się dalej zapadać. Jednakże wózek tkwił już do połowy zatopiony w piasku, a Jarek nie potrafił mnie wyciągnąć. Przyglądało nam się dwoje wczasowiczów, którzy obserwowali bezskuteczne wysiłki Jarka, a widząc, że nie może on dać sobie rady z wózkiem pośpieszyli nam na pomoc. Dopiero wspólnymi siłami wszyscy trzej wyciągnęli mnie na suchy brzeg. Uczynili to w samą porę, gdyż powoli zaczynał się przyptyw i wody coraz bardziej przybywało.

Przekonałem się wtedy, że morze, chociaż takie piękne, potrafi być również niebezpieczne, nawet dla spacerujących po plaży.

Któregoś słonecznego dnia siedziałem przed Ośrodkiem na trawniku z panem Irkiem i panią Iną i opalając się rozmawialiśmy o życiu osób niepełnosprawnych. Opowiadałem im o mojej pracy na komputerze oraz literackim sposobie wyrażania swoich myśli. Panu Irkowi przyszła wtedy do głowy świetna myśl:

- A może napisałbyś do gazety reportaż o naszym pobycie w Międzywodziu?

Spodobał mi się ten pomysł i odtąd wszystkimi zmysłami chłonałem życie turnusu, aby móc odpowiednio przelać swe wrażenia na papier. Lecz ta „reporterska obserwacja” nie zajmowała mi całego wolnego czasu. Większość dnia spędzałem nad moim ukochanym morzem. Mogłem godzinami przesiadywać na plaży wpatrując się w bezkresne wody, delikatny szum fal uspokajał moje nerwy i łądował nową energią, a cudownie świeże powietrze odbudowywało moje nadwątlone siły.

Na swoje 25 urodziny zaprosiłem mamę do przydrożnej kawiarenki na urodzinowego szaszłyka i kawę. Pogoda tego dnia była wspaniała, muzyka delikatnie sączyła się z głośników, jedzenie było doskonałe – czułem się tam tak dobrze, jak jeszcze nigdy w życiu. To były najwspanialsze urodziny, jakie kiedykolwiek obchodziłem.

Po powrocie do domu z zapałem zabrałem się za pisanie owego reportażu o Międzywodziu. W ciągu trzech dni przelałem całe swoje literackie natchnienie na papier, uznałem ten artykuł za całkiem udany i postanowiłem wysłać go do poznańskiej gazety dla osób niepełnosprawnych „Filantrop Naszych Czasów”. Artykuł ukazał się w jednym z jesiennych numerów „Filantropa”.

Jednocześnie dowiedziałem się, że... reporterka lokalnego tygodnika chce przeprowadzić ze mną wywiad. Próbowła się ze mną skontaktować wcześniej, ale byłem jeszcze nad morzem. Ponieważ nie miałem nic przeciwko temu, zgodziłem się na spotkanie.

Kilka dni po moim przyjeździe z Międzywodzia siedziałem przed komputerem i myślałem nad moim reportażem, gdy przez okno zobaczyłem dziewczynę z notesem w ręce idącą w stronę mojego domu. Usłyszałem dzwonek u drzwi, mama zeszła na dół, a po chwili otwierając drzwi od mojego pokoju powiedziała:

- Masz gościa.

Gdy dziewczyna weszła, poczułem się jakby piorun we mnie uderzył.

- Witaj Tomku. Jestem Izabela, umówiliśmy się na przeprowadzenie wywiadu.

Dopiero po chwili odpowiedziałem na jej powitanie, ale wciąż myślałem, że śnię. Izabela była tak ładną podobną do mojej ukochanej Agnieszki, że nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Na początku byłem bardzo spięty, nie bardzo wiedziałem co mam powiedzieć, ale Izabela potrafiła rozładować tę nieco sztywną atmosferę i po chwili rozmawialiśmy jak starzy znajomi. Mama przyniosła nam herbatę, zostawiła nas samych, a ja zacząłem snuć swoją opowieść:

- Moje smutne życie rozpoczęło się 25 lat temu...

Mówiłem, a Izabela słuchała mnie z uwagą, od czasu do czasu zadawała mi jakieś dodatkowe pytanie i przez cały czas pisała w swoim notesie.

Opowiadałem o moim życiu, o problemach osób niepełnosprawnych związanych z bezsensowną biurokracją w urzędach oraz brakiem tolerancji w społeczeństwie. Otwarłem się przed nią całkowicie i opowiedziałem jej o Agnieszce i o tym, że Izabela bardzo jest do niej podobna.

- A gdybyś miał do wyboru zdrowie i miłość, to co byś wybrał? – zapytała mnie nagle.
- Nie wahałbym się ani chwili. – odparłem zdecydowanie – i moim wyborem byłaby miłość. Przez całe moje życie byłem samotny. Nigdy żadna dziewczyna nawet nie pomyślała o tym, że ja też potrzebuję miłości. Wiem, że moja choroba jest nieuleczalna, być może za kilka lub kilkanaście lat zwycięży w walce ze mną, ale właśnie moim największym marzeniem jest to, aby ktoś okazał mi choć odrobinę prawdziwej miłości. Nie litości, bo tego nie potrzebuję, ale właśnie trochę tego cudownego uczucia, bez którego życie ludzkie byłoby bezsensowne.

Zapadła chwila ciszy. Izabela zrobiła mi jeszcze kilka zdjęć przy komputerze i powoli zaczęła szykować się do wyjścia. Przy pożegnaniu powiedziała:

- Wierzę, że kiedyś znajdziesz wreszcie swoją wymarzoną miłość.

Obiecała mi, że ten reportaż o mnie ukaże się tydzień później. Słowa dotzymała...

Rozdział ósmy

Nadszedł grudzień 1998 roku. Wypisywałem kartki świąteczne do rodziny i znajomych i przyszła mi do głowy myśl, aby napisać także do Agnieszki. W głębi duszy nie potrafiłem o niej zapomnieć, a poza tym chciałem dać sobie jeszcze jedną szansę. Nie spodziewałem się odzewu z jej strony, tym bardziej byłem zaskoczony, gdy po kilku dniach otrzymałem odpowiedź na swój list. Ku mojemu zdumieniu Agnieszka nie zapomniała o mnie i mój list bardzo ją ucieszył (a zarazem zaskoczył). Chociaż nie napisała dlaczego nie odpisywała wcześniej na moje listy, to jednak byłem niesamowicie uradowany tym, że w ogóle do mnie napisała.

Już po Nowym Roku (na początku stycznia 1999 roku) w moim pierwszym „oficjalnym” liście poprosiłem Agnieszkę o zdjęcie. Chciałem zobaczyć jak aktualnie wygląda, czy bardzo się zmieniła przez te lata, no i przede wszystkim czy nadal jest taka śliczna. Otrzymałem je w następnym liście. Gdy ją znów zobaczyłem, to przez chwilę poczułem się jakbym znalazł się w niebie. Wyglądała tak cudownie, że nie mogłem oderwać od niej wzroku. Dopiero po chwili spostrzegłem, że nie jest sama na tym zdjęciu. Z listu dowiedziałem się, że razem z nią na fotografii jest jej siostrzenica oraz... półtoraroczny synek Oliver. Jednak tym razem nie chciałem jej stracić i dlatego też zdecydowałem się ukrywać moje uczucie przed Agnieszką. Wielokrotnie chciałem jej opowiedzieć o tym, co się dzieje w moim sercu, ale strach przed jej utratą był silniejszy od prawdy i milczałem.

Agnieszka nadal studiowała, przygotowywała się właśnie do egzaminów, na dodatek podjęła jeszcze pracę, miała więc coraz mniej czasu na korespondowanie ze mną. Postanowiłem wtedy wysłać jej swoje listy bez względu na to czy dostanę na nie odpowiedź, czy też nie. Zacząłem dla niej prowadzić taki „mini-pamiętnik”, opisywałem jej swoje codzienne życie, pisałem jej o tym co się u mnie dzieje, zwierzałem się ze wszystkich zmartwień, ale tego, że kocham ją ponad wszystko nadal nie miałem odwagi napisać.

W marcu postanowiłem zrobić jej niespodziankę. Ponieważ w moim ulubionym radiu w każdy piątek słuchałem programu „Prywatka”, w którym puszczali stare przeboje, więc przyszło mi do głowy, aby poprosić osobę prowadzącą program o jakąś piosenkę dla Agnieszki. Wybór mój padł na piosenkę „Darling” duetu Baccara, natomiast piosenkę swoim ciepłym głosem zapowiadała Arleta – jedna z moich ulubionych DJ-ek prowadzących ten program. Agnieszka bardzo się ucieszyła z tej dedykacji, a ja odtąd zawsze starałem się zadedykować jej jakąś piosenkę.

Na początku maja zacząłem niespodziewanie dostawać listy z całej Polski. Nie wiedziałem skąd one się biorą, byłem tym faktem bardzo zaskoczony. Myślałem, że może ktoś zrobił mi głupi kawał i dał w moim imieniu anons do jakiejś gazety. Dopiero od koleżanki dowiedziałem się, że w miesięczniku „Integracja” w „Kąciku Przyjaciół” ukazał się fragment mojego listu i stąd ta cała korespondencja. A ponieważ miałem coraz więcej wolnego czasu (gdyż coraz rzadziej otrzymywałem coś do przepisanego na komputerze), więc nawiązałem mnóstwo nowych znajomości.

Moje listy stawały się powoli coraz bardziej „dojrzałe”, a w głębi duszy zakiełkowała myśl, aby zostać pisarzem. Lecz minie jeszcze kilka miesięcy zanim myśl przeszła w czyn...

Taką pierwszą nieśmiałą próbą piśmienniczą było uczestnictwo w konkursie literackim ogłoszonym przez „Tygodnik Zamojski”. Tematem konkursu było opisanie swojej największej miłości. Nawet przez chwilę nie zastanawiałem się nad wyborem – postanowiłem napisać o Agnieszce.

W ciągu zaledwie dwóch dni powstało opowiadanie, które zatytułowałem „Historia pisana sercem”. Tytuł trafnie oddawał treść opowiadania, gdyż to właśnie serce dyktowało mi co mam pisać. Uznałem to opowiadanie za bardzo udane, wysłałem je na konkurs, lecz nie otrzymałem żadnej informacji o wynikach tego konkursu. Nie zraziłem się tym, tylko zacząłem myśleć o temacie na swoją pierwszą powieść.

Kolejny mój wyjazd na wczasy okazał się totalną klapą. Wyjechałem we wrześniu z mamą na dwutygodniowy pobyt do Ciechocinka (pod patronatem Wielkopolskiego Związku Inwalidów Narządu Ruchu, którego byłem członkiem).

Wyjazd był z Dworca Zachodniego w Poznaniu o godz. 5.30 rano. Do Poznania zawiózł nas znajomy, a później przesiadliśmy się do autokaru. Mieliśmy wyjechać punktualnie o szóstej, ale czekaliśmy jeszcze

na spóźnialskich i w rezultacie ruszyliśmy dopiero przed godz. 7. Być może to opóźnienie uratowało nas przed nieszczęściem.

Kilka kilometrów za Poznaniem (w Murowanej Goślinie) miał miejsce tragiczny wypadek. Samochód osobowy jadący z nadmierną prędkością uderzył w jadący z naprzeciwka samochód dostawczy. Gdy przejeżdżaliśmy koło miejsca wypadku (bardzo powoli, gdyż utworzył się gigantyczny korek) strażacy właśnie rozcinali samochody, które były strasznie splątane ze sobą. Nikt nic nie mówił, ale każdy myślał o tym, że gdyby nie to nasze opóźnienie w wyjeździe, to być może nasz autokar byłby na miejscu któregoś z tych samochodów.

Po czterech godzinach jazdy dojechaliśmy do Ciechocinka. Na pierwszy rzut oka było tam dość przyjemnie, czułem się jak w lesie – całe miasteczko tonęło w zieleni. Ośrodek wczasowy również zrobił na mnie dobre wrażenie (przynajmniej z zewnątrz).

To wrażenie prysło jednak w środku. Otworzywszy drzwi pokoju w nasze nosy uderzył zaduch dawno nie wietrzonego pomieszczenia oraz odór świeżej farby. W środku znajdowały się dwa „łóżka” składające się z szerokiej deski (stare drzwi od szafy?) położonej na drewnianych klockach i przykrytej gumowym materacem, mały stoliczek i dwa krzesła, szafa w przedpokoju oraz przedpotopowe radio. Do umycia się mieliśmy małą umywalkę, wspólna łazienka (jak również toaleta) mieściła się na korytarzu.

Na domiar złego mieszkaliśmy w skrzydle, które było właśnie w remoncie, więc codziennie około godz. 7 rano budziły nas odgłosy stukania i wiercenia w ścianie. Na szczęście po południu ekipa kończyła pracę i zapadała wtedy błoga cisza.

Nudziłem się tam okropnie. Jak to zwykle bywało – znów nie miałem żadnych zabiegów i mój pobyt był wybitnie klimatyczny. Na dodatek nie miałem tam prawie żadnych rówieśników.

Wjeżdżając na stołówkę powiodłem po sali wzrokiem i oniemiałem: średnia wieku kuracjuszy grubo przekraczała 40 lat. Osoby mniej więcej w moim wieku mogłem policzyć na palcach jednej ręki (a wszystkich osób było około 400). „*I ja tu mam spędzić dwa tygodnie!*” – jęknąłem w duchu.

Sytuację uratowało poznanie pewnego małżeństwa, które przyjechało z naszym turnusem. Prześliczna dziewczyna od razu zwróciła moją uwagę, opiekowała się facetem na wózku (mniej więcej w tym samym wieku co ja). Później dowiedziałem się, że ona ma na imię Danusia, a ten gość to jej mąż Rafał.

Widząc jak Danusia opiekuje się Rafałem, przypomniałem sobie jak cztery lata temu również i ja byłem pod opieką tak cudownej istoty. Ponieważ Rafał w wyniku wypadku był całkowicie sparaliżowany, więc Danusia musiała przy nim być cały czas. I chociaż ta opieka była czasem dla niej trudna, to zawsze chodziła uśmiechnięta i radosna jak skowronek, a z jej oczu promieniowała bezgraniczna miłość do męża. Zazdrościłem Rafałowi tak wspaniałej żony.

Po dwóch tygodniach nudzenia się w Ciechocinku nadszedł czas powrotu do domu. Cztery godziny drogi powrotnej zniósłem dzielnie, ale miałem już dosyć tej jazdy i marzyłem o tym, aby jak najszybciej znaleźć się w domu.

Wróciwszy do domu postanowiłem sobie, że już nigdy nie dam się namówić na żadne wczasy „nie wiadomo gdzie” i jeśli tylko będę mógł, to postaram się wyjeżdżać wyłącznie nad morze.

Miło było znów znaleźć się w Żabnie, zasiąść przed komputerem, posłuchać mojego ukochanego radia (w Ciechocinku nie mogłem go złapać w moim radiodbiorniku). Dzień później była „Prywatka” prowadzona przez moją ulubioną DJ-kę Arletę. Jak zwykle podczas programu zadzwoniłem do niej z prośbą o piosenkę dla Agnieszki oraz aby się przywitać po dwutygodniowej nieobecności. Podziękowała mi za kartkę z Ciechocinka, którą jej wysłałem, lecz w muzycznej zapowiedzi mylnie określiła mnie jako osobę mieszkającą w Poznaniu. Postanowiłem wtedy napisać do niej list, przedstawić się bliżej i opisać trochę siebie – w końcu już od pół roku spełniała moje muzyczne prośby i zaczęła poznawać mnie po głosie.

Tydzień później znów prowadziła „Prywatkę”. Zadzwoniłem po kolejną piosenkę dla Agnieszki i... ku mojemu ogromnemu zdumieniu podała mi swój domowy numer telefonu, abym do niej mógł zadzwonić. Po kilku dniach znalazłem trochę wolnego czasu, zebrałem się na odwagę i zadzwoniłem do niej. Nasza pierwsza rozmowa trwała... 45 minut. Rozmawiało nam się bardzo lekko, po raz pierwszy nie czułem tremy. Arleta powiedziała mi wtedy, że mój list bardzo jej się podobał, że mam talent literacki i nie powinienem go zmarnować. Uznałem to za doskonały pomysł i postanowiłem zostać pisarzem...

26 października moja ukochana Agnieszka obchodziła swoje urodziny. Postanowiłem zrobić jej niespodziankę i usłyszeć ją „na żywo”. Ponieważ wiedziałem gdzie pracuje, więc zdobyłem numeru

telefonu do niej do pracy było tylko kwestią kilkadziesiąt sekund rozmowy z Biurem Numerów Zamiejscowych.

Dochodziła godz. 10 rano, gdy z bijącym sercem wydusiłem na klawiaturze telefonu numer do Świebodzina. „*Witamy w Banku Zachodnim w Świebodzinie. Proszę tonowo wybrać numer wewnętrzny lub poczekać na zgłoszenie się operatora*” – przywitał mnie głos z taśmy. Po kilkunastu sekundach odezwała się pani z centrali:

- Słucham?
- Dzień dobry, czy pracuje u Was Agnieszka J.?

Pani sprawdziła coś i po chwili odpowiedziała, że pracuje i już mnie z nią łączy. Usłyszałem miłą melodyjkę, a po kilku sekundach odezwał się głos:

- Słucham, J.

Serce podeszło mi do gardła i nie wiedziałem co mam powiedzieć. Wreszcie się przemogłem:

- Witaj Agnieszko, czy domyślasz się może kto do Ciebie zadzwonił?
- Nie – odpowiedziała.
- A gdybym zaczął rozmowę od „Witaj księżniczko” (tak zaczynałem każdy mój list do niej) poznałabyś mnie?
- Tomek? – jej zdziwienie było ogromne. – Nie spodziewałabym się, że do mnie zadzwonisz.
- Chciałem zrobić Ci niespodziankę, a poza tym chciałbym Ci złożyć najlepsze życzenia z okazji urodzin.

Oczyma duszy zobaczyłem jej uśmiech. Jeszcze chwilę rozmawialiśmy ze sobą, aż wreszcie się pożegnałem, gdyż nie chciałem jej przeszkadzać w pracy. Po tej rozmowie poczułem ogromny przypływ energii i dobrego humoru i przez resztę dnia pracowałem jak na skrzydłach.

Skoro tak świetnie się poczułem po telefonie do Agnieszki, postanowiłem regularnie do niej dzwonić. Chociaż te rozmowy były dość krótkie, to musiałem usłyszeć jej słodki głosik, choćby miało to trwać tylko kilka sekund. Z każdą rozmową coraz bardziej byłem w niej zakochany i coraz bardziej za nią tęskniłem. Nadal nie mogłem jednak zdobyć się na wyznanie swoich uczuć.

Dopiero na początku grudnia znalazłem w sobie tyle odwagi, aby napisać Agnieszce prawdę. Był to najpiękniejszy list, jaki kiedykolwiek napisałem. Zawarłem w nim całą miłość, jaka we mnie istniała, napisałem Agnieszce o tęsknocie za nią, przelałem na papier wszystko to, co się działo w moim zakochanym sercu...

Nadchodzi powoli nowe tysiąclecie. Miniony rok przeżyłem bardzo intensywnie i w nowe milenium wkroczę z nadzieją na lepsze jutro. Czy to jutro rzeczywiście będzie lepsze? Jak potoczy się moja kariera literacka? Czy wygram w walce z FOP, czy też choroba będzie silniejsza ode mnie? Co się stanie z moją miłością do Agnieszki? Czy zostanie odwzajemniona a ja znajdę wreszcie to najpiękniejsze uczucie, bez którego ludzkie życie byłoby bezsensowne?

Epilog

Czy moje marzenia się spełniły? Niestety, życie jeszcze raz pokazało jak potrafi mnie zaskakiwać... Po moim liście Agnieszka przestała do mnie pisać. Gdy czekałem na jej list, często ogarniał mnie smutek i zaczynałem mieć coraz bardziej ponure myśli. Miałem już dosyć tego przeklętego życia, lecz nawet nie przypuszczałem co mnie wkrótce czeka...

Pod koniec lutego 2000 roku zadzwonił do mnie wujek z pytaniem czy odbieram program Planette. Nie miałem go w swojej ofercie satelitarnej, więc obiecał mi nagrać na wideo jakiś film dokumentalny. Pojawił się wkrótce i przywiózł mi obiecaną kasetę. Gdy zostałem sam, włączyłem wideo i... to co obejrzałem sprawiło, że znenawidziłem mojego życia jeszcze bardziej. Z filmu dowiedziałem się prawdy o mojej chorobie – prawdy tak strasznej, że wołałbym jej nigdy nie poznać. Okazało się, że przez ponad dwadzieścia lat nie wiedziałem na co rzeczywiście choruję. Naprawdę nazywała się Fibrodysplasia Ossificans Progressiva (FOP) i była moim „genetycznym koszmarem”.

Z początku myślałem, że to może pomyłka, ale z każdą minutą obejrzanego filmu, z każdą nową informacją utwierdzałem się w przekonaniu, że to jest moja choroba. Zgadzały się wszystkie fakty – zniekształcony duży palec u nogi, początkowe objawy, sposób postępowania, powolne sztywnienie mięśni, „przebłyśki” chorobowe – to była cała prawda o FOP.

Początkowe przerażenie przeszło w rozpacz. Wielokrotnie zastanawiałem się: „Dlaczego ja?”, ale nie potrafiłem odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Najbardziej mnie zaboląła wiadomość, że FOP jest nieuleczalna. Gdybym miał jakąś iskierkę nadziei, że kiedyś wstanę z wózka, że będę całkowicie zdrowy, to jeszcze mógłbym się jakoś pogodzić z chorobą. Ale informacja o bezsilności lekarzy całkiem już mnie dobiła. Na szczęście nie byłem sam, przychodzili do mnie przyjaciółki, więc powoli odzyskiwałem dawną pogodę ducha.

Postanowiłem dowiedzieć się o swej chorobie jak najwięcej. Razem z wujkiem nawiązaliśmy poprzez Internet kontakt z amerykańskim stowarzyszeniem IFOPA, które zajmowało się badaniami nad Fibrodysplazją. Ten kontakt był trochę problematyczny, gdyż nie posiadałem dostępu do Internetu. Zatem listy pisałem normalnie, wysyłałem je zwykłą pocztą do wujka, a on w swojej firmie tłumaczył je na angielski i wysyłał do Stanów przez Internet. Odpowiedzi uzyskiwałem w ten sam sposób.

Dopiero w maju rozpoczęła się moja przygoda z globalną siecią informacyjną. Dzięki uprzejmości wujka otrzymałem modem i jeszcze w tym samym dniu miałem swoją własną skrzynkę pocztową. Z Telekomunikacji otrzymałem prezent w wysokości stu darmowych impulsów do wykorzystania przez trzy miesiące w Internecie, zatem mogłem zacząć uczyć się nowego środowiska. Szybko nauczyłem się podróżować w Sieci, szukać potrzebnych mi informacji, wysyłać e-maile. Coraz bardziej poznawałem język angielski, dzięki któremu mogłem już samodzielnie korespondować z IFOPA.

Właśnie wtedy zacząłem szukać w Internecie wszelakich danych na temat FOP. Przekonałem się, że po polsku nie ma o niej żadnych stron internetowych, zaś ze stron angielskojęzycznych większości tekstu nie byłem w stanie zrozumieć. Lecz dzięki pomocy znajomego przetłumaczyłem książkę o FOP otrzymaną z IFOPA, tak więc mogłem o mojej chorobie dowiedzieć się czegoś więcej.

W lipcu zacząłem zastanawiać się nad stworzeniem własnej strony internetowej. W końcu miałem dostęp do Internetu, więc mógłbym także tą drogą zaistnieć w „szerokim świecie”. Myślałem także o stworzeniu pierwszej polskiej strony z informacjami o FOP.

Po długich poszukiwaniach odpowiedniego programu do projektowania stron internetowych zabrałem się wreszcie do pracy. Z początku za bardzo nie wiedziałem co umieścić na tej stronie, ale po namyśle oprócz informacji o Fibrodysplazji postanowiłem zamieścić na niej także moją biografię oraz dawną twórczość poetycką. Miałem z tym wszystkim mnóstwo roboty, ale myśl, że będę posiadał własną stronę WWW dawała mi wiele satysfakcji i zadowolenia oraz sił do dalszej pracy nad projektem.

Ani się obejrzałem jak lipiec miał się ku końcowi. Ale i moja strona była już gotowa. Oprócz tłumaczenia książki o FOP zamieściłem na niej moją biografię podzieloną na rozdziały, wiersze pisane przed laty, a także kilka informacji o mnie wraz ze zdjęciem. Znalezienie odpowiedniego serwera, który oferował miejsce na darmową stronę WWW było tylko kwestią kilku dni. Więc w połowie roku po raz pierwszy zaistniałem w Internecie.

Zacząłem mieć coraz większe problemy z uzębieniem. Ze względu na słabe rozwarście ust oraz blokadę ramion nie mogłem sobie normalnie umyć zębów, szczoteczki odpowiednio długiej nie znalazłem (a elektryczne kosztowały majątek), więc trochę je zaniedbałem. Dopiero gdy coraz częściej zaczęły mnie boleć, postanowiłem coś z tym zrobić.

Usłyszawszy o dobrej dentystce ze Śremu postanowiłem do niej zadzwonić (przemawiał za nią także fakt, że gabinet miała na parterze, bez schodów, więc nie byłoby żadnych problemów z wjazdem moim wózkiem). Po krótkim przedstawieniu siebie i swojego stanu chorobowego umówiliśmy się na wizytę u niej w gabinecie.

2 sierpnia około godz. 9.30 wyruszyłem na pieszą wyprawę do Śremu. Jako kierowca towarzyszyła mi moja sąsiadka Edyta. Przy okazji postanowiliśmy po drodze odwiedzić Kasię.

Jak to w sierpniu często bywa – od samego rana panował wtedy straszny upał. Słońce świeciło bardzo mocno, na niebie nie było ani jednej chmurki, po prostu „małe piekielko”. Na szczęście wziąłem ze sobą parasol do osłony przed słońcem, inaczej dotarłbym do Śremu z udarem mózgu.

Koło południa byliśmy już u Kasi. Wyglądała jak zwykle prześlicznie i na jej widok przestałem się bać tej wizyty u dentystki. Było mi tam tak dobrze, że nie miałem ochoty dalej iść. Niestety, myśl o moich problemach z zębami zmusiła mnie aby ruszyć w dalszą drogę.

Była to już godz. 14, a więc największe gorąco. Na dodatek w Śremie był potworny ruch samochodowy, tak więc mieliśmy małe problemy z przekraczaniem jezdni. Z wolna jednak dochodziliśmy do celu.

Czułem wielki głód (od rana poza śniadaniem nie miałem nic w ustach), do wizyty miałem jeszcze około półtorej godziny, zatem postanowiliśmy z Edytą iść jeszcze na obiad. Wybraliśmy chińską restaurację, gdyż byłem ciekawy smaku egzotycznych potraw. Kurczak po chińsku był wyborczy.

Ale czas już był na dojście do gabinetu dentystycznego. Na miejscu byłem punktualnie. Akurat nikogo nie było, więc zostałem od razu przyjęty. Najpierw rozmawiałem z panią stomatolog o stanie moich zębów, o mojej chorobie, aż wreszcie przystąpiła do dzieła. Otworzyłem usta najmocniej jak mogłem, a ona zaczęła mi wiercić w zębie. Dwa lub trzy razy „zahaczyła” o nerw, a mnie wtedy z bólu włosy stawały dęba. Przy płukaniu rozwierzonego zęba lodowatą wodą myślałem że oszaleję. To już jednak była końcówka zabiegu.

- Teraz włożę Panu do zęba truciznę, która zatruje ten ząb, a za tydzień go zaplombujemy.

Ta operacja była już całkowicie bezbolesna. Potem krzątając się po gabinecie jeszcze ze mną rozmawiała, po minucie poczułem, że robi mi się gorąco, przed oczyma zaczęły mi latać mroczki, zdążyłem jeszcze powiedzieć: „*Słabo mi*” i straciłem przytomność w ciągu trzech sekund.

Nie wiem jak długo byłem nieprzytomny, prawdopodobnie około 10 minut. Oczy miałem otwarte, ale zupełnie nie kontaktowałem (jakbym umarł). Dentystka błyskawicznie wyjęła mi truciznę z zęba i razem z Edytą zaczęły mnie cucić, aż wreszcie odzyskałem świadomość i zacząłem wymiotować. Byłem biały jak prześcieradło i taki słaby, jakbym wrócił z zaświatów. Przez dłuższy czas nie byłem w stanie nic powiedzieć, tylko wciąż pozbywałem się zawartości żołądka.

Wyglądałem tak strasznie, że dentystka postanowiła zadzwonić po karetkę. Przyjechali szybko, z początku nie chcieli zgodzić się na odwiezienie mnie do domu, ale gdy zobaczyli w jakim jestem stanie, gdy usłyszeli, że do domu mam 17 km, na dodatek jeszcze zaczęło zbierać się na burzę – podjechaliśmy pod szpital i po krótkiej konsultacji z lekarzem postanowili mnie odwieźć.

W domu natychmiast położyli mnie do łóżka i zapadłem w głęboki sen. Obudziłem się po czterech godzinach cały mokry od potu, wypilem trochę herbaty i znów zasnąłem. Na drugi dzień obudziłem się silniejszy, a po kilku dniach całkowicie doszedłem do siebie.

Pod koniec sierpnia rozpoczął się kolejny epizod w moim życiu, który doświadczył moją osobę.

Stowarzyszenie IFOPA organizowało w listopadzie sympozjum poświęcone chorobie FOP. Na to sympozjum miało przyjechać ponad stu naukowców i lekarzy, a także chorzy z całego świata. W głębi duszy marzyłem o wyjeździe na to sympozjum, ale ten straszliwie wysoki koszt przelotu i pobytu...

W jednej z rozmów telefonicznych z moją radiową przyjaciółką Arletą opowiedziałem jej o moim marzeniu – wyjeździe na sympozjum. Arleta poddała mi myśl, abym napisał do Stanów i poprosił stowarzyszenie o sfinansowanie tej wyprawy. Trochę się wahałem, ale w końcu zgodziłem się. Napisałem e-maila do Sharon, wiceprezesa IFOPA, z prośbą o pomoc. Ku mojej ogromnej radości Sharon zgodziła się mi pomóc. Bilety lotnicze miała mi sfinansować pewna rodzina z Peru, natomiast pobyt w hotelu opłaciło mi stowarzyszenie IFOPA.

Ponieważ do wyjazdu zostało zaledwie dwa miesiące, więc musiałem szybko zabrać się za przygotowania. Wyrobić sobie paszport, wizę... i wszystko korespondencyjnie lub przez telefon, gdyż sam nie mogłem nigdzie jechać. Ale z wolna jakoś to wszystko szło.

Najważniejszy problem był ze znalezieniem kogoś do opieki. Mama zaczynała pracę jako palacz w szkole, więc nie mogła ze mną jechać. Ewa, która tak wspaniale opiekowała się mną w Mielnie, była świeżo po ślubie i również nie mogłaby ze mną wyruszyć w taką podróż. Edyta wyjechała, Arleta zmieniała pracę – jednym słowem nikogo. Wysłałem nawet kartkę do Agnieszki, ale nie odpowiedziała na nią.

Aż wreszcie pomyślałem o Kasi. Wprawdzie była mężatką, miała małą córeczkę, ale chyba przez tydzień daliby sobie radę bez niej? Myśl wcieliłem w czyn. Zadzwoiłem do Kasi i opowiedziałem jej o wyjeździe na sympozjum. Z początku trochę się wahała, ale w końcu zgodziła się pod warunkiem, że na jej wyjazd zgodę wyrazi jej mąż. Najpierw był on temu przeciwny, ale gdy dowiedział się, że całą podróż mamy opłaconą, to w końcu dał nam swoje błogosławieństwo.

Ponieważ mój stan uzębienia wcale się nie poprawił po wizycie u dentystki, postanowiłem zatem iść na profesjonalny zabieg chirurgiczny. Trochę się obawiałem czy po tej operacji moja choroba nie zablokuje mi całkowicie żuchwy, ale musiałem podjąć ryzyko, gdyż odczuwałem coraz silniejsze bóle zębów. Zabieg w jednym z poznańskich szpitali (tylko tam mieli odpowiedni sprzęt do przeprowadzenia takiej operacji) miałem wyznaczony na 27 września, na godz. 10 rano. Wstałem już o godz. 6.30, aby się uszykować na godz. 8 na przyjazd karetki. Byłem taki zdenerwowany, że nie mogłem przełknąć śniadania.

Karetką przyjechała szybko, zapakowali mnie i wózek, ponieważ jednak w przekazie nie było napisane nic o mamie, musiała jechać do Poznania autobusem.

Podróż trochę trwała, gdyż z powodu remontów dróg musieliśmy jechać objazdami. Gdy dotarliśmy na miejsce, mamy jeszcze nie było. Przybyła kilka minut później.

Wjechaliśmy na oddział chirurgiczny, przywitałem się z lekarzami i pod salą operacyjną czekałem na panią anestezjolog. Trochę się trząsałem, ale to chyba z nerwów, gdyż na oddziale było ciepło. Po kilkunastu minutach pani anestezjolog wreszcie przysłała. Myślała, że jestem już operowany, ale odparłem, że bez niej nikt nie śmie mnie dotknąć. Ten żart trochę mnie rozluźnił i już nie byłem taki spięty.

Zawieziono mnie na salę operacyjną i posadzono w bardzo wygodnym fotelu. Założyli mi elektrody od EKG na piersi, a także igłę do podawania środków znieczulających dożylnie. Rozmawiałem sobie z panią anestezjolog, a ona w tym czasie dała mi kilka zastrzyków. Powiedziała, że mogę odczuwać iż mam za małą głowę, a mnie już zaczęło się w niej kręcić, jakbym był pijany. Potem poszła na sąsiednią salę (gdzie też odbywała się operacja), a przy mnie pojawił się stomatolog.

Najpierw wiertarką zaczął mi wiercić w zębach (niezbyt miłe uczucie, chociaż nie czułem żadnego bólu), a gdy już oczyścił dziury, wypełnił je cementem. Potem wziął szlifierkę i zaczął wygładzać ten cement. Gdy już ubytki miałem wypełnione, zrobił miejsce dentystce. Zaczęła się zabawa z wyrwaniem zębów. Potężną igłą zrobiła mi zastrzyk znieczulający w dziąsło, a potem próbowała wyrwać ząb. Jednakże ten wystawał z dziąsła zaledwie na milimetr, więc nie było go jak złapać. Dopiero któreś z kolei szczypce (było ich kilka sztuk i każde w innym rozmiarze) okazały się odpowiednie. Pchnęła nimi ząb i nie zdążyłem nawet poczuć bólu, a już był wyrwany. Z drugim było tak samo.

Wydawało mi się, że to wszystko trwa bardzo krótko, ale w rzeczywistości operacja trwała aż dwie godziny. Zawieźli mnie potem na oddział, gdzie położyłem się do łóżka i strasznie zmęczony i oszołomiony narkozą prawie natychmiast zasnąłem.

- Proszę Pana!!! Panie Przybysz!!! – obudziło mnie wołanie jednej z pielęgniarek.

Z trudem otwarłem oczy, jeszcze byłem osłabiony, ale powoli zacząłem dochodzić do siebie. O godz. 16 przyjechała po mnie karetka, tym razem wzięliśmy także mamę i wróciłem do domu. Przed pójściem spać zapobiegawczo wziąłem tabletkę przeciwbólową, ale szczeka mi nie dokuczała (była tylko trochę odrętwiała). Noc przespałem spokojnie, następnego dnia rano zjadłem małe śniadanie, chociaż bardzo ostrożnie (gryzłem lewą stronę, gdzie zęby miałem dobre). I gdybym nie widział w lusterku dziur po tych wyrwanych zębach i nie miał jeszcze lekko sztywnej żuchwy, to w ogóle nie wiedziałbym, że byłem na zabiegu dentystycznym. To był mój najprzyjemniejszy pobyt u stomatologa w całym moim życiu.

Rany w dziąsłach powoli się goiły, ale 19 października przeżyłem tragedię. W nocy obudziłem się z ustami wypełnionymi krwią. Okazało się, że naderwałem językiem skrzep z dziąsła i zaczęła się z niego sączyć krew. Ale myślałem, że do rana przestanie.

Przez resztę nocy spałem jak zając pod miedzą, gdyż budziłem się co chwilę gdy miałem za dużo krwi w ustach. Rano wstałem już o godz. 8 i próbowałem jakoś zatamować krwawienie. Jednak bezskutecznie. Około godz. 10.30 pojechałem z mamą do Śremu po odbiór paszportu. Stanęliśmy samochodem przed Urzędem Paszportowym, wyszła do mnie pani urzędniczka i po złożeniu dwóch podpisów otrzymałem paszport. Przy wyjeździe z uliczki zobaczyłem... Kasię. Zawołałem ją do samochodu i chwilę rozmawialiśmy. Ponieważ z paszportami i wszystkimi dokumentami to właśnie Kasia miała jechać do ambasady amerykańskiej w Warszawie, więc umówiliśmy się, że wieczorem przyjedzie po wszystko do mnie.

Wróciliśmy do domu, lecz krwotok nie ustał. Próbowałem usta przepłukiwać zimną wodą, ale to przynosiło tylko chwilową ulgę. Około godz. 14 zdecydowaliśmy się zadzwonić po karetkę. Przyjechali w miarę szybko i pojechaliśmy do Śremu do szpitala. Chirurg chciał mi dziąsło zaszyć, ale mu wytłumaczyłem, że moja choroba ogranicza zabiegi chirurgiczne tylko do naprawde poważnych przypadków.

Zabrał się do oczyszczania rany. Zaświecił taką silną lampę chirurgiczną z czterema żarówkami, zebrał nadmiar krwi gazikiem i nożyczkami zaczął wycinać ten naderwany skrzep. Ponieważ ja od rana poza kilkoma biszkoptami nic nie jadłem, lampa była bardzo gorąca, więc zaczęło mi się robić słabo, a przed oczami zaczęły mi latać takie mroczki (jak wtedy u dentystki). Poprosiłem o wyłączenie lampy, pielęgniarka zaczęła mnie wachlować jakimś ręcznikiem, zrobiło mi się trochę lepiej.

Włączyli z powrotem lampę, zrobiło mi się niedobrze i zacząłem wymiotować krwią (której przez cały dzień sporo się nałykałem). Dalszy zabieg trwał już bez lampy. Lekarz włożył do rany gazik i kazał mocno zagryźć. Potem zmienił gazik, polał ranę jakimś lekarstwem i kazał tak trzymać przez kilka godzin.

Wróciliśmy do domu. Pod wieczór ostrożnie wyjąłem gazik, ale krew już nie leciała. Obyło się bez szcucia...

Kasia była u mnie po wszystkie dokumenty 19 października wieczorem, a następnego dnia wczesnym rankiem wyjechała do Warszawy do ambasady. Od samego rana byłem z lekka zdenerwowany, ale pocieszałem się myślą, że za kilka godzin będziemy już mieć wizy, a za kilka dni wyruszymy w naszą wspólną podróż.

Nagle moje myśli przerwał dzwonek telefonu. Ku mojemu zaskoczeniu dzwoniła Kasia – z Warszawy. Dowiedziałem się, że nie otrzymała wiz, gdyż były problemy z jej paszportem. Miała go jeszcze na panińskie nazwisko, a potrzebny był aktualny. Niestety, nikt nas wcześniej nie uprzedził o tym fackie. Kazałem jej wracać do domu, a sam postanowiłem zadzwonić do Wydziału Paszportowego w Śremie z prośbą o wyjaśnienie o co chodziło z tym paszportem. Wyjaśniono mi, że chodzi tu o sprawy ubezpieczeniowe – gdybyśmy jechali prywatnie, to Kasia mogłaby mieć stary paszport, ale wyjazd opłacony przez moje stowarzyszenie był traktowany jako wyjazd służbowy i w tym wypadku paszport musiał być z aktualnym nazwiskiem. Poradzono mi także, abym skontaktował się z Dyrektorem ds. Paszportowych w Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, gdyż tylko on mógłby mi pomóc.

Gdy Kasia wróciła do Wielkopolski, to wszystko udało mi się już załatwić. Umówiłem ją na rozmowę w poznańskim Urzędzie Wojewódzkim w sprawie wydania nowego paszportu, napisałem także wniosek opisujący naszą sytuację i proszący o jak najszybsze wydanie nowego paszportu (wyjazd mieliśmy za 10 dni).

22 października – w niedzielę wieczorem – zadzwoniłem do Kasi aby powiedziec jej dokładnie jak ma załatwić nowy paszport. A tu przeżyłem prawdziwy szok: Kasia zaczęła mieć wątpliwości co do legalności naszego wyjazdu. W jej głosie słyszałem takie zrezygnowanie, jakby już nie chciała jechać. Z wielkim trudem udało mi się ją przekonać, że ten wyjazd do Filadelfii jest jak najbardziej legalny i bezpieczny.

Gdy następnego dnia po południu zadzwoniła do mnie i powiedziała, że nie dostała paszportu, to ogarnęła mnie fala smutku i pomyślałem że to już koniec. Na szczęście okazało się, że Kasia żartowała. Ale ten żart o mało nie przyprawił mnie o zawał serca!

Kolejne dni były dla mnie bardzo nerwowe. Nowy paszport Kasi mieliśmy otrzymać dopiero w czwartek. Postanowiłem jeszcze zadzwonić do ambasady amerykańskiej w Warszawie i spytać się czy można przyspieszyć wydanie wiz. Podczas rozmowy straciłem resztkę nerwów, bo najpierw nie chcieli mnie połączyć z konsulem, a na dodatek pani rozmawiająca ze mną nie uznała naszej sytuacji za przypadek wyjątkowy i po prostu nie gwarantowała nam wydania wiz. Jediną dobrą stroną tej rozmowy była wiadomość, że w przypadku wizy służbowej nie musimy umawiać się na spotkanie z konsulem, tylko przyjechać z dokumentami. Szkoda, że nie wiedzieliśmy tego wcześniej...

Nadszedł wreszcie 30 października. Kasia od rana była w Warszawie, a ja czekałem na telefon od niej. Czas włókł się bardzo powoli, telefon nie dzwonił, a ja z każdą mijającą godziną coraz bardziej się denerwowałem. Jednakże nie traciłem nadziei, że wszystko będzie dobrze.

Dopiero po godz. 18 Kasia zadzwoniła. Była już w swoim domu i nie miała dla mnie dobrych wiadomości. Nie otrzymała wiz i o wyjeździe mogliśmy zapomnieć. Los chciał, że trafiła na tak wredną obsługę, że właściwie nie miała żadnych szans na otrzymanie wiz. Pani konsul miała chyba zły dzień, bo czepiała się wszystkiego, aż w końcu stwierdziła, że Kasia nie umiejąc jej wyjaśnić celu tego sympozjum, chce sobie wyjechać nielegalnie do pracy. Także mój wniosek o wydanie wizy nie został rozpatrzony pozytywnie, gdyż... nie stawiałem się osobiście w ambasadzie. Próżne zdały się tłumaczenia Kasi, że poruszam się na wózku inwalidzkim, że od Warszawy dzieli mnie 300 kilometrów, które nie mam czym pokonać – pani konsul nie chciała nawet obejrzeć mojego zdjęcia i kazała Kasi wyjść.

Gdyby myśli umiały zabijać, to prawdopodobnie w tym momencie ambasada amerykańska w Warszawie przestałaby istnieć...

Z wielkim smutkiem napisałem e-mail do Sharon, w którym wyjaśniłem jej powody, dla których nie przybędę z Kasią na sympozjum. Stowarzyszenie IFOPA próbowało jeszcze interweniować w ambasadzie, ale nawet mimo pomocy kongresmana z Waszyngtonu nic nie dało się już zrobić.

I tak oto świat moich marzeń zawalił się kompletnie. Straciłem już całkowicie nadzieję, że kiedykolwiek spełni się któreś z moich marzeń, poczułem się całkowicie odepchnięty przez wszystkich. Myślałem, że chociaż ten wyjazd będzie takim przewyciężeniem pasma smutku, jaki ciągnie się za mną, ale widocznie los chciał inaczej...

Lecz najgorsze miałem jeszcze przed sobą. 31 października (w dzień naszego niedosłzłego wyjazdu) wstałem osowiały i obojętny na wszystko. Śniadanie zjadłem bez apetytu i zabrałem się za poranną toaletę, gdy zadzwonił telefon. Dzwonił wujek pytając się o godzinę wyjazdu. Gdy dowiedział się, że nie lecimy – dostał wręcz szału. Zaczął mi wygadywać, że to wszystko to nie wina ambasady tylko moja, że gdybym nie trzymał wszystkiego dla siebie, tylko coś mu powiedział, to zawiózłby mnie do Warszawy swoim samochodem, że jestem nieudacznikiem – jednym słowem czułem się jak przestępca na rozprawie opuszczony nawet przez adwokata. Po kilku minutach zadzwonił powtórnie i powiedział, że w jego firmie wszyscy żałują, że nie poleciałem, że bardzo się zawiódł na mnie... Ja się w ogóle nie odzywałem, ale miałem już wszystkiego dosyć. I bez tego gadania byłem totalnie załamany. Gdyby nie Kasia, to byłbym gotów sobie coś zrobić. Tylko myśl o niej, że mogłaby się czuć winna mojej śmierci, powstrzymywała mnie od pokusy odejścia z tego okropnego świata.

Niemniej jednak przez cały dzień byłem jednym wielkim kłębkiem nerwów. Dopiero po południu włączywszy sobie moją ukochaną Celine Dion i słuchając jej romantycznych piosenek z wolna zacząłem się uspokajać. Po kilku utworach poczułem, że po policzkach płyną mi łzy. Nie płakałem, tylko łzy płynęły mi same. Razem z nimi spłynęły z mojej duszy te wszystkie nerwy i wieczorem moja psychika była już w porządku.

1 listopada miałem ochotę uciec z domu. Już nawet planowałem wyjść sobie na spacer i wrócić dopiero wieczorem, gdy wszyscy goście już sobie pojedą i nie będą zerować na mojej osobie. Ale ku mojemu zaskoczeniu cała rodzina zachowywała się nad wyraz miło. Widzieli, że jestem załamany i pewnie dlatego nikt już nie mówił, że to wszystko stało się z mojej winy...

Zastanawiałem się później co będzie ze mną i Kasią. Czy czasem nie będzie czuła się winna całej tej sytuacji i nie będzie mnie unikać? Ale podczas naszej rozmowy moje wątpliwości rozwiały się całkowicie, gdy o następnym Sympozjum mówiła w liczbie mnogiej: „zaproszą nas”, „będziemy załatwiać”, „pojedziemy”. Ucieszyły mnie te słowa, gdyż uświadomiłem sobie, że nic się między nami

nie zmieniło i nadal jest tą słodką Katrin (jak ją pieszczotliwie nazywałem), którą z każdym dniem coraz bardziej uwielbiałem...

Mijał tydzień za tygodniem. Depresja, którą przeżywałem przez cały czas, zaczęła z wolna zanikać. Ale razem z depresją zaczęła w mym serduszku zanikać miłość do Agnieszki, a jej miejsce zajęła... Kasia. Nie wiem co się ze mną działo. Gdy słyszałem jej głos w słuchawce telefonu lub widziałem ją podczas wizyty u mnie, to czułem się jak zaczarowany. Powoli zacząłem sobie uświadamiać, że tak naprawdę Kasia była mi bardzo bliska przez te wszystkie lata naszej przyjaźni, tylko ten fakt dotarł do mnie dopiero teraz. Niestety, małżeństwo Kasi kładło się głębokim cieniem na tę miłość. Choć serce mi pękało z bólu, postanowiłem zapomnieć o tej miłości, gdyż nie chciałem stać się powodem rozpadu jej małżeństwa. Ale czy można rozkazać słońcu aby przestało świecić? Mimo tych wszystkich cierpień jakie przeżywałem, nie potrafiłem wyrzucić Kasi z mojego serca...

W Nowy Rok 2001 wkroczyłem w nijakim nastroju. Nie wiedziałem co mi przyniesie to nowe stu- i tysiąclecie, ale znając mój dotychczasowy żywot nie spodziewałem się niczego dobrego. I nie pomyliłem się – los najpierw mnie pochwalił, a zaraz potem skarcił.

W pierwszych dniach stycznia otrzymałem wiadomość od Sharon, że nareszcie otrzymali bilety lotnicze, które wysłałem im w połowie listopada. Naprawdę – poczta postarała się w tym przypadku, aby przesyłkę do Stanów przesyłać przez dwa miesiące (gdy zwykle listy docierały do Sharon w przeciągu maksimum dwóch tygodni). Bardzo się ucieszyłem z dotarcia tej przesyłki na miejsce, gdyż przecież bilety kosztowały 5000 dolarów i doprawdy nie wiedziałbym co powiedzieć Sharon gdyby przesyłka zaginęła. W końcu oni mi zaufali przysyłając bilety do mnie...

Jednakże wkrótce mój dobry nastrój uległ pogorszeniu. 8 stycznia zadzwoniła do mnie Kasia.

Dowiedziałem się strasznych rzeczy o jej mężu, o tym jak ją traktuje, a ponieważ Kasia miała już tego wszystkiego dosyć, więc postanowiła wyjechać do mamy do Bogatyni.

Gdy mi powiedziała, że właśnie się pakuje i po południu jedzie autobusem do mamy, to nie wiedziałem co mam powiedzieć. Połowa mego serduszka zawołała: „Nareszcie!”. Nareszcie Kasia zrozumiała, że powinna odejść od człowieka, który ją traktuje jak przedmiot. W końcu moja mała Katrin też zasługuje na odrobinę szczęścia. Natomiast druga połowa mojego serca rozplakała się, gdyż ogarnęło mnie takie przeczucie, że właśnie tracę moją ukochaną. Wprawdzie Kasia mi obiecała, że nie zapomni o mnie, ale wiedziałem z własnego doświadczenia jak to jest z miłością na odległość – im większa odległość od ukochanej, tym ta miłość jest boleśnieszka. Obiecaliśmy oczywiście pisać do siebie listy, dzwonić (choć z powodu kosztów te rozmowy nie będą zbyt długie), ale czegoś się bałem. Nawet Celine Dion nie pomogła mi przepędzić tego smutku z powodu wyjazdu Kasi...

Wyjechała po południu, a ja nie wiedziałem co mam ze sobą zrobić – czy się cieszyć, że Kasia nie będzie już więcej cierpieć, czy też smucić, że mogę ją stracić na dobre. Teraz miała zamieszkać z rodzicami w Bogatyni, a chociaż mówiła, że na razie nie chce się z nikim wiązać, to jednak zacząłem się bać, że w końcu kogoś pozna i zapomni o mnie. Choć nie wiedziałem czy mam jakiegokolwiek szansę u niej, to jednak przyzwyczyłem się do myśli że może kiedyś będzie ze mną. W końcu Kasię znałem dłużej niż Agnieszkę, więc chyba pokochałem ją mocniej. Chociaż traktowałem ją bardziej jak przyjaciółkę niż jako ukochaną, to jednak zawsze była mi bardzo bliska. A teraz to okropne przeczucie, że znów tracę panią mego serca...

Marzec upłynął mi pod znakiem Internetu. Odkryłem coś, czego jeszcze nie próbowałem – grupy dyskusyjne. Właściwie to miałem kontakt z grupą dyskusyjną ze Stanów, ale z powodu bariery językowej byłem raczej biernym jej uczestnikiem. A tu dzięki artykułowi w jednej z gazet komputerowych zobaczyłem, że istnieją także polskie grupy dyskusyjne. Poznałem na nich wiele osób, z niektórymi nawet się zaprzyjaźniłem...

Ostatniego dnia marca wybrałem się na mały spacer do Krajkowa – pobliskiej wsi położonej malowniczo nad Wartą. Od kilkunastu dni siedziałem bez przerwy w domu, więc z prawdziwą przyjemnością skorzystałem z okazji aby się nieco przewietrzyć. Przez cały czas myślałem o Kasi, żałowałem że jej nie ma, bo miałem straszną ochotę ją zobaczyć...

Moje życzenie o Kasi spełniło się, ale z małym opóźnieniem. W poniedziałek, 2 kwietnia, po południu zadzwoniła do mnie z domu. Postanowiła wrócić i dać mężowi ostatnią szansę. Posmutniałem trochę, gdyż mimo tego wszystkiego co napisałem jej w liście zdecydowała się na powrót. Ale to miał być ostatni raz...

Wielokrotnie zastanawiałem się czy wyjawić Kasi, że jest panią mego serca. Nie chciałem jednak aby pomyślała sobie, że skoro jej małżeństwo przeżywa kryzys, to ja próbuję wykorzystać sytuację. Nie wiedziałem także czy po tym wyznaniu Kasia nie zniknie z mego życia tak samo jak Agnieszka (a do tego nie chciałem dopuścić). W grę wchodziła także moja chorobliwa nieśmiałość. Chociaż wiele razy wyobrażałem sobie taką sytuację, to gdy słyszałem głos Kasi w słuchawce telefonu, nie mogłem wykrztusić ani słowa.

Jako człowiek doskonale obeznany z literaturą postanowiłem wtedy napisać do niej list. Pisanie zawsze lepiej mi wychodziło niż mówienie. Przełałem na papier wszystkie moje uczucia, ale mimo to nadal nie mogłem zdobyć się na to, aby wręczyć Kasi ten list. Chociaż dla mnie nic on nie zmieniał (poza faktem, że moja ukochana dowiedziała się o wszystkim), to dla Kasi musiałby być prawdziwym szokiem – ot dowiaduje się, że jej przyjaciel kocha ją nade wszystko. Sam nie wiem co bym zrobił na jej miejscu...

Nie musiałem zbyt długo czekać, aby wręczyć Kasi ten list. W poniedziałkowy poranek 14 maja siedziałem przy śniadaniu, gdy zadzwonił telefon. Intuicja mi podpowiadała, że coś się stało. I miałem rację – Kasia chciała się ze mną pożegnać, gdyż wyjeżdżała na dobre. Była już częściowo spakowana i czekała na przyjazd rodziców. Obiecała jednak, że gdy w następnym tygodniu przyjedzie się wymeldować i po resztę swoich rzeczy, to wpadnie do mnie z wizytą. Pomyślałem sobie, że nadszedł wreszcie czas na wyjawienie prawdy.

Ten tydzień włókł się jak ślimak pod górkę. Na szczęście „wszystko mija, nawet najdłuższa zmija”. W środę, 23 maja siedziałem przy komputerze i czekałem na obiad. Nagle przez okno zobaczyłem kogoś idącego chodnikiem. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi mojego pokoju. Drzwi się otwały i ujrzałem Kasię. Ze szczęścia serce zaczęło mi bić tak głośno, że było je chyba słychać w całym domu. Jeszcze nigdy Kasia nie wyglądała tak ślicznie – wprost nie mogłem oderwać od niej wzroku. Rozmawialiśmy tylko kilka minut, gdyż spieszyła się, a żegnając się z nią zdobyłem się wreszcie na odwagę i wręczyłem jej moje miłosne wyznanie. Zaznaczyłem tylko, aby przeczytała je dopiero w domu. Wyszła z pokoju, a ja poczułem się jakby zabrano mi część serduszka. Po kilkudziesięciu minutach przeszył mnie dreszcz niepokoju i pomyślałem sobie, że pewnie Kasia w tej chwili czyta mój list:

Droga Kasiu!!!

(...) Nie wiem jak Ci mam to wszystko wyjaśnić... Najprościej będzie założyć, że pokochałem Cię od pierwszego wejrzenia, gdy przed laty zobaczyłem Cię po raz pierwszy. Tak, to chyba zaczęło się wtedy... Tego uczucia, którego wtedy doznałem, nie sposób wyrazić słowami. To było coś tak cudownego, że aż nierealnego. Na początku bronilem się przed tym rękoma i nogami, gdyż nie chciałem znów cierpieć, ale miłości nie sposób się oprzeć. Tak było też ze mną – miłość do Ciebie zawładnęła całym moim sercem i duszą. Przy Tobie czułem się wspaniale, byłem jak zaczarowany, po raz pierwszy w moim życiu poczułem lekki smak szczęścia. Twój wyjazd i późniejszy ślub zakłóciły moją równowagę psychiczną, ale w głębi duszy nie potrafiłem o Tobie zapomnieć. Mimo moich starań i wysiłków nadal moje serduszko szaleje na dźwięk Twojego głosu...

Natomiast teraz... Teraz chciałbym Ci powiedzieć jak bardzo stałaś mi się bliska, ale w żadnym języku nie ma takich słów, które w pełni oddadzą moje uczucia. Napiszę tutaj tylko tyle, że chciałbym abyś towarzyszyła mi w dalszym życiu, a ja ze swej strony obiecuję uczynić wszystko, abyś była przy mnie szczęśliwa...

(...) Usiądź teraz wygodnie, zamknij oczy i pomyśl o mnie. Pomyśl sobie o pewnym smutnym Tomku, który nigdy w życiu nie zaznał prawdziwej miłości, który dla ukochanej gotów byłby zrobić wszystko, który

wreszcie odnalazł swój skarb, lecz nie wie czy może sobie ten skarb zatrzymać... Gdy z powrotem otworzysz oczy, Twoje serce podpowie Ci co masz uczynić...

Kocham Cię Kasiu...

Tomek

Mijał tydzień za tygodniem, a Kasia nadal nie dawała mi jednoznacznej odpowiedzi co do moich uczuć skierowanych w jej stronę. Wielokrotnie zastanawiałem się co ona teraz myśli o mnie, myślałem też czy nie popełniłem gdzieś jakiegoś błędu. Przypomniałem sobie jak to było z Agnieszka, jak ona „uciekła” ode mnie. Miałem coraz więcej wątpliwości czy powinienem wyznawać Kasi swoją miłość. Ale co się już stało, to się nie odstanie...

Kilkakrotnie rozmawialiśmy ze sobą przez telefon, ale Kasia nigdy nie poruszała tematu mojej miłości do niej. Choć próbowałem ją delikatnie nakierować, to unikała rozmowy na ten temat. Opowiadała mi o tym jaka jest szczęśliwa w rodzinnym domu, jak jej psychika powoli wraca do normy, ale nigdy nie wspominała o miłości.

Aż wreszcie zrozumiałem – Kasia zawsze traktowała mnie jak przyjaciela, jako powiernika swoich tajemnic, ale nigdy nie okazywała mi prawdziwej miłości. Pojąłem wtedy, że ona nie odwzajemni moich uczuć, nigdy nie przekroczy granicy przyjaźni. Zawsze będę dla niej tylko przyjacielem i „starszym braciszkiem”. Ale mimo wszystko nadal jest najdroższą istotą dla mojego serca...

Dwukrotnie zakochałem się w cudownej dziewczynie i dwukrotnie moja miłość nie została przyjęta.

Mówią, że do trzech razy sztuka.

Ale czy będę na tyle silny, aby przeżyć kolejną miłość?

Czy w ogóle warto?...